

Kamena

LUBLIN 15.IV.1966 Nr 7 (340) R. XXXIII

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

MILLENIUM NA WESOŁO



Bolesław
Rzywocysty
(z synami)



(Dokończenie na str. 12)

Rys. W. Fuglewicz

LUBLIN GOLA!

ROMUALD WIŚNIEWSKI

GDY 40 lat temu pan Kazimierz Wiśniewski, członek reprezentacji młodzieżowej Lublina, w piłce nożnej, jechał na mecz do Lwowa. Jednym z prowanterów, jak dostał na drogę, on i jego koleżki, był jeden z bogactw razowego miasta. Lubelski futbol, założony przez parę Bractwa dopiero rączkował. Na wyjazd brakowało pieniędzy. Właściciel przejazdu do Lwowa i z powrotem pokryli z własnej kieszeni adwokat Kuczewski i właściciel wielkiego sklepu z

(Dokończenie na str. 5)



Rozmowa z Wojciechem Siemionem na str. 7

Alarmu ciąg dalszy

JAK powinna zachować się panna składająca wizytę rodzicom, chłopca? Jak należy żywić tuczniaki? Co to jest cybernetyka? Co to znaczy MOPR? Kto napisał „Sennik Współczesny”?

Na takie i setki podobnych pytań odpowiadają codziennie bibliotekarze w ramach tzw. służby bibliograficzno-informacyjnej. Obecnie bowiem człowiek zatrudniony w bibliotece nie tylko wypożycza książki, ale także wyjaśnia pochodzenie belemnitu, wybiera stosowny wiersz na dzień nauczyciela i bibliograficznie twórczości Matejki. Jednocześnie organizuje spotkania autorskie, prelekcje i wystawki nowości wydawniczych, wraz z czytelnikami uczestniczy w kilku konkursach upowszechniających literaturę.

Radio, telewizja, wszelkie inne formy upowszechniania wiedzy i kultury wpłynęły niewątpliwie na zmianę charakteru i celów dzisiejszego bibliotekarstwa. Spełniają one funkcję katalizatorów potrzeb intelektualnych społeczeństwa, pobudzają wyobraźnię i powodują nowe zainteresowania, których spełnienie następuje często poprzez książki. Dowodzi tego wzrost czytelnictwa.

Na Lubelszczyźnie w r.ub. przybyło 15 462 czytelników, którzy korzystali z 408 bibliotek, 158 filii, 1972 punktów bibliotecznych i 114 czytelników. Wypada więc cieszyć się, że ludzie tak spontanicznie garną

się do książki, a zalecenia polityki kulturalnej znajdują oddźwięk i kontynuację w szerokim ruchu społecznym.

Optymistyczną wizję obywateli pogrążonych w lekturze macą jednak publikacje prasowe.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

Oto Władysław Wołki zamieścił niedawno w „Życiu Literackim” artykuł o wymownym tytule: „Alarm trwa — sytuacja bibliotek jest wciąż niepokojąca”, w którym napisał m.in.: „Pod wpływem wymagań całkowicie innego rzędu zmieniają swój charakter i biblioteki. Staroświeccy filantropi, którzy nie mogą rozstać się z miłym ich sercu obrazem małej wypożyczalni, rozpowszechniającej literaturę ku pokrzepieniu ducha, stanowią zaporę przed prądem wymagań współczesności. Dzięki nim, zadowolonym z małego, nasze bibliotekarstwo, w porównaniu ze stanem w innych krajach, jest również staroświeckie”.

Wołki naświetla przy tym szereg zagadnień utrudniających rzeczywiste postępy i unowocześnienie bibliotekarstwa, wspomina o katastrofalnej sytuacji lokalowej bibliotek, o biurokratyzacji zawodu i przemęczeniu pracowników.

Czy Lubelszczyzna wymyka się

spod ocen sformułowanych w tym artykule? Czy wielokierunkowa działalność, związana z nowymi potrzebami, rozwija się u nas w odpowiednich, nowych warunkach?

Na początku lutego b.r. Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej prosi władze wojewódzkie o 50 tys. zł na remont pomieszczeń: „Budżet biblioteki nie przewidywał tak wysokiego wydatku i nie jest go w stanie ponieść Prezydium Powiatowej Rady Narodowej”. Niedawno miałem okazję zobaczyć uzasadnienie próby: zużyte piece, zniszczone futryny, ramy okienne i drzwi, niewielką czystością. Lokal rzeczywiście „odstręcza publiczność”.

Wcześniej w listopadzie ub. r., ta sama biblioteka informuje Wydział Oświaty i Kultury Prezydium PRN w tym mieście, że 7 placówek bibliotecznych znajduje się w trudnej sytuacji lokalowej i prosi „o interwencję zarówno w przedmiocie przywrócenia bibliotekom właściwych warunków lokalowych, jak i niedopuszczenia do szkodliwych posunięć władz terenowych, wstrzymujących lub ograniczających pracę bibliotek”.

Na tym cytacie można by właściwie zakończyć cały artykuł — gdyby chodziło jedynie o zilustrowanie sytuacji typowym przypadkiem — ponieważ uogólnia on pro-

(Dokończenie na str. 8)

JANUSZ DANIELAK

PRAWO jest jak słup telefoniczny — przeskończy się nie da, ale obejść łatwo.

Takie lub podobne porzekadła stanowią wciąż jeszcze „mądrość” naszego narodu. Brak dyscypliny, lekceważenie prawa i przepisów porządkowych — to nie tylko wzięty temat dziennikarskich enuncjacji, częsty powód biadołań i narzekania porządkowych ludzi, oburzenia władz — to także, niestety, rzeczywistość. Ludzie dokładnie myślący starają się znaleźć przyczyny tak żalnego stanu rzeczy. Wskazują na historię — dość długo znajdowali się pod okupacyjnymi rządami, kiedy to łamanie wrogiego prawa i przepisów było obowiązkiem każdego dobrego patrioty, niekiedy wręcz — czynem bohaterskim. Na przykład podczas ostatniej okupacji patriotycznym transparentem w fabrykach był wizerunek żołnierza. Najporządniejszy człowiek uważał za swój obowiązek jeżdżenie na gapę tramwajem i koleją, autobusem —

by nie zasilać kasy okupanta. Ale weszło nam to w krew, stało się narodowym obyczajem.

Przyczyna druga: rewolucja stworzyła olbrzymie wiry społeczne, w których jakby niechcący utonęły także dobre przyzwyczajenia i oby-

czaje. Na przykład wiadomo powszechnie, że królowie byli zawsze punktualni. Nie oznacza to jednak, żeby wraz z królami miała zagnąć enota punktualności. A zagnęła.

To na zasadzie żartu. Najistotniejszą przyczyną był dynamiczny, gwałtowny wręcz rozwój kraju. Mechanizacja, przemysł, urbanizacja. Wiadomo, że im wyższy stopień cywilizacji — tym większa potrzeba dyscypliny,ładu i porządku. Nie nadążamy za tym...

Olbrzymi napływ ludności wiejskiej do miast, zjawisko przeciętne — pozytywne, konieczne — przyniosło

jednak niemało społecznych kłopotów. Ludzie, których życie regulowane było niejednokrotnie tylko wschodami i zachodami słońca — nieraz stawali wobec skomplikowanej maszyny nowoczesnego miasta. Siłą bezwładu traktowali miej-

PRAWO JAK SŁUP

scali trawnik jak gromadzką ławkę, przelotową arterię — jak gościńiec „do gminy”. Również kierownika wydziału kadr w fabryce skłonni byli traktować jak dobrotliwego tatę, który przecież nie zwolni... z rodziny, jeśli koszenie trawy rozpocznie się o pięć minut później...

Wszystko to niewątpliwie prawda. Ale prawda w dużej części — miniona. I wszystko to nie wyjaśnia do końca, dlaczego wdrażanie w ludzi obowiązku, poszanowania dla przepisów, dyscypliny — postępuje tak wolno.

Trzeba się zapytać — w jaki sposób to robimy?

Otóż niewątpliwie robimy źle.

Coraz większy tłok na ziemi, fakt, że poruszamy się coraz szybciej i drogami coraz bardziej skomplikowanymi, że chcemy coraz więcej — powoduje, iż również mamy nowe szanse wzajemnego nadeptywania sobie na piętę. Trzeba cały ten ruch — regulować. Zadanie to mają spełniać wszelkiego rodzaju przepisy — od Konstytucji poczynając poprzez Kodeks Karny, przepisy administracyjne, aż do drobnych wewnętrznych przepisów porządkowych poszczególnych instytucji.

W Anglii co prawda ponoć nie ma nawet konstytucji — i wszystko jak-koś krąży. W oparciu o prawa zwyczajowe. Ale u nas o dobre obyczaje wciąż trudno. Chcemy je więc stworzyć odpowiednimi przepisami — sankcją karną, mandatem, ostrzeżeniem. Nawyki kulturalne stworzymy przy pomocy ojcowiskiego paska. Pedagogika wątpliwa, ale może konieczna.

Wszelko twierdzą, że — po pierwsze — przesadzamy. Po wtóre: używanie pasa też jest sztuką, wyma-

(Dokończenie na str. 5)

JAN GÓREC
ROSIŃSKI

* * *

sandały moje z sitowia
czerpią rybę na chyżość
stóp

ponieście mnie w
nieświadzialne
w pozaistniejące

gdzie źródło żywe
zapala lichtarze
synagodze zmyślonych
marzeń

tam gdzieś
siedzi mój jehowa

srogi absolut
przelewający sens
z pustego w próżne



WCHWILI, gdy piszę te słowa, dopiero rozpoczyna się XXIII Zjazd KPZR. Komentarz na ten temat ukazał się więc dopiero w następnym numerze. Dziś pragnąłbym zająć się innym problemem, który ciągle zajmuje wiele miejsca na łamach prasy światowej. Mam na myśli Indonezję. Ponieważ tytuł rubryki („1966”) pozwala na stosowanie różnej formy wypowiedzi, odbiegając od dotychczasowej tradycji i przedstawię czytelnikom dwa charakterystyczne głosy prasy brytyjskiej. Oto jak „Times” i „New Statesman” widzą Indonezję z marca 1966 r.

„TIMES”: „Dokonując w praktyce bezkrytycznego i legalnego puczu, indonezyjscy dowódcy wojskowi zepchnęli, jak się wydaje, prezydenta Sukarno na pozycję konstytucyjnego monarchy, a zarazem uniknęli wojny domowej. Aresztowanie dotychczasowego ministra spraw zagranicznych, Subandrio, usunęło wszelkie możliwości, jakie mogłyby jeszcze istnieć, gdy Sukarno podpisał dokument upoważniający generała Suharto do podejmowania w imieniu prezydenta „wszelkich kroków niezbędnych dla zapewnienia bezpieczeństwa i stabilizacji administracji rządowej” oraz zobowiązujący go jedynie do „składania raportów” z podejmowanych akcji. Subandrio był kluczową postacią nie

tylko w zakresie polityki zagranicznej, ale w organizowaniu zbrojnego poparcia dla prezydenta Sukarno. Zdziwiający jest, że przypisywany mu geniusz opuścił go w najbardziej krytycznym momencie i prezydent Sukarno... nie był w stanie uchronić go. Życie Subandrio zostało złożone obecnie w ręce armii.

„Times” wskazując, że poza aresztowaniem Subandrio armia uwięziła również innych współpracowników prezydenta Sukarno, pisze:

„Byli oni księżętami na dworze Sukarno. Bez nich jest on tylko samym sobą, przy czym jego pozycja uległa zasadniczemu osłabieniu. Jego zdolność przetrwania sprawiła, że nie zaszedł on ze sceny, ale kiedy widziałem go w dniu 12 marca w pałacu prezydenckim, nie miałem wątpliwości, iż zmuszono go do przeknięcia bardzo gorzkiej pigułki. Również ludność Dżakarty i innych miast nie miała wątpliwości co do tego, że Sukarno skapitulował...”

Prolog tych dramatycznych wydarzeń nie został jeszcze w pełni wyjaśniony, ale od pewnego czasu wiadomo było o większej obserwacji, w tym również prezydentowi Sukarno, który starał się zignorować siłę opozycji, że generał Suharto i inni dowódcy wojskowi świadomie tolerują wystąpienia studentów, wymierzonych przeciwko Subandrio. Według źródeł zbliżonych do generałów Subandrio zamierzał wykorzystać uzbrojone nieregularne oddziały oraz część lojalnych wobec niego pododdziałów wojskowych do walki z demonstrantami. Wobec demonstrujących studentów miały być zastosowane represje, co miało stanowić wstęp do usunięcia z rządu generała Suharto i jego ludzi. Plan ten został wykryty i generał Suharto poczynił odpowiednie przygoto-

wania. Według międzynarodowej wersji prezydentowi Sukarno towarzysząco coś w rodzaju ultimatum, powiadającego go, że w pobliżu pałacu koncentruje się wojsko. Sukarno i Subandrio byli wstrząśnięci. Wraz z dr Salehem udali się oni helikopterem do Bogoru. Było to desperackie posunięcie. Z chwilą, gdy Sukarno udał się do Bogoru, generał Suharto pozostał sam na placu boju. Relacja ta zawiera pewne luki, jednakże wydaje się, że większość dowódców wojskowych poparła plan generała Suharto przejścia władzy pod warunkiem — nader istotnym na przyszłość — że Sukarno pozostanie dożywotnim, choćby tylko nominalnym, prezydentem.

Do Sukarno wysłano w roli emisariuszy trzech generałów. Nie było mowy o negocjacjach. Chodziło po prostu o podpisanie przez Sukarno dokumentu zapewniającego szerokie pełnomocnictwa generałowi Suharto, a w przeciwnym razie...

Nie jest pewne, co nastąpiłoby „w przeciwnym razie”. Wydaje się jednak prawdopodobne, że Suharto zadeklarował, iż odmowa Sukarno byłaby równoznaczna z „umyciem rąk” przez armię ze wszystkimi tego konsekwencjami dla osobistego bezpieczeństwa prezydenta. Po czterogodzinnej rozmowie Sukarno postanowił ratować siebie samego i podpisał odpowiedni dokument dla generała Suharto... Być może, sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby prezydent Sukarno wiedział, że część dowódców wojskowych udzieliła poparcia generałowi Suharto pod warunkiem, iż zachowana zostanie dotychczasowa prezydentura Sukarno.

A oto opinia „NEW STATESMAN”: „Dopóki Sukarno żyje, nie można z całą pewnością powiedzieć, że zszedł on ze sceny politycznej Indonezji. Jeśli zaś cho-

dzi o likwidację Indonezyjskiej Partii Komunistycznej, to w Azji nikt nie sądzi, że partię komunistyczną można zlikwidować przez samą jej delegalizację, w szczególności, gdy chodzi o partię tak wielką i posiadającą takie wpływy, jak indonezyjska. Dlatego też, dopóki nie będą znane dalsze intencje Sukarno, dopóty przezorniej będzie traktować objęcie władzy przez generała Suharto raczej jako etap w skomplikowanej sytuacji niż jako ostateczne rozwiązanie. Mimo wszystko Sukarno jest nadal bardzo popularny. Pozostaje on ciągle symbolem jedności Indonezji.

W przeszłości Sukarno potrafił iść w razie potrzeby na kompromisy, a później, gdy wszystko się uspokajało, zagarniał znów pełnię władzy. Tak właśnie było po nieudanym zamachu stanu w październiku ub. roku. Przepuszczalnie nigdy nie będziemy znać prawdy o tamtych wydarzeniach, które kosztowały życie sześciu generałów, córki generała Nasutiona i około 100 tysięcy domniemyanych sympatyków komunizmu. Jednakże w czasie procesów Untunga i Njono wyszło na jaw sporo faktów sugerujących, iż Sukarno uczestniczył w jakiś sposób w czynach, co było próbą zapobieżenia zamachowi stanu ze strony rady generałów z Nasutionem na czele...

Czy generał Suharto — kończy „New Statesman” — potrafi utrzymać Indonezję zjednoczoną i uruchomić indonezyjską gospodarkę? Czy też Indonezja zmierza obecnie ku rozbiću na rządzone przez poszczególnych wojskowych rejonów? W. Brytania, Chiny i ZSRR z największą uwagą obserwują rozwój sytuacji.

Do spraw indonezyjskich jeszcze powrócę. Na razie trzeba pilnie „obserwować rozwój sytuacji”. (j)

DOROCZNY raport ministerstwa spraw wewnętrznych NRF stał się nie zamierzoną przez jego autorów sensacją dnia. Raport miał na celu udowodnienie zanępkowanej opinii publicznej, że rząd boński sprawuje pełną kontrolę nad elementami faszystowskimi w NRF. Tymczasem zamienił się w jeszcze jeden akt oskarżenia pod adresem tego rządu. Potwierdził, że faszysty pleni się w tym państwie bez żadnych przeszkód, daje o sobie znać codziennie, przeszcza się do wszystkich dziedzin życia.

pistolety” — piszą faszyci do ewangelickich autorów memoriału w sprawie polityki wschodniej NRF. Atmosfera, jaka panuje w NRF, sprzyja rozwojowi tendencji faszystowskich. Zupełnie bezkarnie działają tam skrajnie prawicowe, przepojone szowinistycznym nacjonalizmem, faszystowskie wydawnictwa. Na rynek czytelnicy rzuca się co miesiąc wielomilionowe nakłady książek i broszur, które apoteozują politykę Niemiec hitlerowskich i sławią zwycięstwa Wehrmachtu. Młodzież zachodniemiecka może rozczytać się w wspomnianych pisanach przez byłych dowódców hitlerowskich jednostek, korzystając

udało im się zyskać na wojnach, które powinni byli wygrać. „Niemcy — pisze Barnick — są winni wobec historii”, ponieważ „byli zbyt pokojowi, zbyt szczerzy, zbyt skromni. Za to są jeszcze do dziś dnia karani”. W przeciwieństwie do wielu innych „naukowców” zachodniemieckich, zajmujących się okresem hitlerowskim, Barnick przyznaje, że w III Rzeszy popełniono zbrodnie na Żydach, ludźliach umysłowo chorych i innych „niepożądanych elementach”. Ale uważa on informacje o rozmiarach zbrodni za „przesadzone” i zapewnia, że „tylko kilku set ludzi” popełniało te zbrodnie i



P przed niedawnymi laty narzekaliśmy na centralizację życia kulturalnego, a także na monopol wydawniczy ośrodków głównych, zwłaszcza stolicy. Później dowiedzieliśmy się ożywienia i powstania licznych inicjatyw wydawniczych na prowincji, w tej chwili zbiera ich fala. Czy to jest źle? Nie, to bardzo dobrze. Trzeba tylko zatroszczyć się, aby swoboda inicjatywy nie prowadziła do bezdroża. W rzeszowskim „WIDNOKRĘGU” tym właśnie sprawom poświęca J. Grygiel artykuł „Przeleń żywiołowości w regionalnym ruchu wydawniczym”. Charakteryzując dwa nurty wydawnicze: oficjalny i amatorski — pisze:

„Drugi nurt w produkcji wydawniczej ma charakter podziemny, prawie konspiracyjny — wydawnictwa tego nurtu krąży niewidocznymi przeciętnemu odbiorcy drogami. Nawet gdy się dowie, że ukazała się interesująca go publikacja, nie może do niej dotrzeć”. Chodzi tu autorowi o publikacje towarzystw regionalnych, wydawnictwa zakładów pracy, rad narodowych itp. Nie to jest wszakże głównym mankamentem, lecz to, że „amatorska działalność wydawnicza toczy się obecnie zbyt żywiołowo, brak jej uporządkowania i ładu. Obok wielu cennych wydawnictw o nieprzemijającej wartości, które ukazały się dzięki tej decentralizacji, na polityce wydawniczej, jest także sporo makulatury lub okolicznościowych, drętych sprawozdań i referatów, wydanych w formie książki ku większej chwałce instytucji, zakładu pracy czy placówki. Książki, która nie interesuje nikogo prócz ludzi publikujących w niej swe prace lub wymienionych w tych pracach”. Monografia Brzozowa, czy Zanku w Łańcucie to na pewno rzeczy cenne, ale czy dotyczy to także wydawnictw w rodzaju „Miastoprojekt w służbie ziemi rzeszowskiej”, publikacji jubileuszów szpitali, fabryk, spółdzielni?

Grygiel domaga się sensownego zatławienia kolportażu wydawnictw regionalnych, jak również uzdrowienia całokształtu w tym zakresie. Bo rzeczywiste żywiołowości nie zawsze się tu oplaca. Czy jednak powołanie postulowanej komisji coś

zalatwi, to inna sprawa. Ale edytorstwu regionalnemu należy się pilna uwaga i serdeczna pomoc. W „WALCE MŁODYCH” K. Bosek daje sprawozdanie ze zjazdu wojewódzkiego ZMS, zatytułowane „Lubelska debata”. Autor podkreśla twórczy charakter bogatej dyskusji, która obejmowała szeroka problematykę społeczną i środowiskową, dotyczącą spraw ogólnych i miejsca pracy, dyskusji, w której mówiono nie tylko o dużych osiągnięciach, ale także wysuwano wiele wniosków i propozycji.

Mówiono tam o szkołach wieczorowych dla aktywnych grupach zainteresowań, kolach młodych racjonalizatorów, polityków i historyków, o różnych przedsięwzięciach w pracy oświatowej. „Nie brakowało głosów w sprawie działalności szkoleniowej, orientowanej już coraz szerzej na problemy istotne dla poszczególnych zespołów, uwzględniającej zwłaszcza fakt rotacji pokoleniowej. Kilku dyskutantów podkreślało konieczność stosowania nowych, bardziej atrakcyjnych form nowego przekazu treści oraz — gdy chodzi o młodzież szkolną — śmiałego zaspokajania ciekawości w kwestiach wypływających z bariery tradycji, przemilczania świętości i środowiskowych oporów. Wszelako — co chyba najważniejsze — sprawy ideowo-wychowawcze traktowano tu w ścisłym związku z praktyką codzienności i z życiem własnych środowisk, w nurt którego włączyły się pozytywne inicjatywy młodych.”

„POLITYKA” w artykule „Konsumpcja czasu wolnego”, pióra Jerzego Malysza, podejmuje temat dyskusyjny ostatnio nie tylko przez socjologów, ale i ekonomistów. Wraz z postępiami cywilizacji, postępu technicznego i wyręcaniem człowieka przez maszynę człowiek otrzymuje do dyspozycji więcej czasu wolnego, który powinien wykrywać w sposób najlepszy dla siebie i zgodnie z interesami społeczeństwa. A to zahacza już o ekonomię i konsumpcję, o model spożycia, a więc ma określony kontekst ideologiczny. „Wobec tego czas wolny urasta do rangi kryterium pozwalającego ocenić racjonalność modelu spożycia, a docelowo model użytkowania czasu wolnego i spożycia można inaczej nazwać docelowym modelem potrzeb społeczeństwa socjalistycznego.”

A model spożycia, to — zdaniem autora — model ustroju, sprawa wizji życia społeczeństwa. I stał potrzebą przemyśleń i perspektywicznego myślenia. T. K.

BRUNATNY ŻWIR

„Kto umie słuchać — pisała niedawno „Welt der Arbeit” — ten może doszukać szmery dochodzący spod pokrywy dobrobytu. Wydaje się, że pod fundamentem dostojnie urządzonego gmachu naszego państwa zaczyna się poruszać brunatny żwir, który budowniczości przeczołży, a którego gospodarze najwidoczniej dostrzeć nie chcą.”

Faszystowskie idee i faszystowskie metody plenią się w państwie bońskim coraz bujniej. Raport ministerstwa przytacza na poparcie tego wstrząsające dowody. Wzrosła w ostatnim okresie liczba członków partii prawicowo-radykalnych, podniosły się nakłady pism faszystowskich, wzrosła liczba faszystowskich prowokacji.

Niedawno w jednej z gazet monarchijskich ukazała się mała notatka: „Z powodu choroby reżysera Heinza Rosena Bawarska Opera Państwowa zmuszona była odwołać planowaną na wieczór sylwestrowy nową inscenizację „Nietoperza”. Dyrektor baletu doznał zalamania nerwowego”.

Fakty podane w notatce są zgodne z prawdą. Brak w niej, tylko drobnej informacji: dyrektor baletu Heinz Rosen zachorował, ponieważ został terroryzowany. Heinz Rosen jest Żydem, jedynym w rodzinie, który przeżył okres masowych morderstw w hitlerowskiej Rzeszy. Od kilku miesięcy nieznanymi osobniczo poczęli go prześladować. Przez telefon płynęły obelżywe przekleństwa, nieznanne głosy zapowiadały dokonanie tego, o czym zapomnieli hitlerowscy oprawcy. Wkrótce w biurze Rosena pojawiły się przedmioty ze swastykami. Ktoś je podrzucał, dbając o to, aby zawsze znalazły się na biurku dyrektora. W końcu człowiek nie wytrzymał. Przyszło zalamanie nerwowe. Prześladowcy osiągnęli swój cel. Nie jest to odosobniony wypadek. Prowokacje tego typu, oszczerstwa i anonimowe listy są najpopularniejszymi środkami, jakich używają obecnie neohitlerowcy w NRF. Każdy, kto im się nie podoba, kto ma odwagę sprzeciwić się oficjalnej polityce Bonn, każdy komu nie podoba się pobłażliwość rządu wobec byłych hitlerowców, może być pewny, że stanie się przedmiotem niewybrednych ataków. „Ponumerujcie swoje kości, gdyż wszystkie was roztluczymy na kawałki jako zdradców ojczyzny, zaladowaliśmy już na was nasze

bez ograniczeń z literatury hitlerowskiej. „Spełnij swój obowiązek w Hitler-Jugend i zachowaj miłość oraz wierność wobec Fuehrera i jego sztandaru, a wtedy będziesz podną być niemiecką dziewczyną” — oto jedno ze zdań książki pt. „Ania na słonecznym wzgórzu” jaką mają do swej dyspozycji dzieci szkoły podstawowej w Benhausen.

Od propagandy faszystowskiej nie są wolne teatry i kina. Ostatnio głośnym echem w świecie odbił się skandal z filmem, który pt. „30 stycznia 1945, sprawa Kolobrzegu” wszedł na ekrany Niemiec zachodnich. Jest to kolorowy film. Jego pierwotna nazwa brzmiała „Kolberg”. Nakręcony został na polecenie Goebbelsa przez sztandarowego reżysera hitlerowskiego Veita Harlana. Film opowiada o obronie Kolobrzegu przed Francuzami — do ostatniego mężczyzny, kobiety i dziecka. „Obiecuję sobie bardzo wiele po tym filmie Harlana — pisał Goebbels w swym dzienniku. Pasuje on doskonale do naszej sytuacji historyczno-politycznej”. „Kolberg” wraz z drugim filmem Harlana, antysemickim „Jude Suss”, należy do najgorszych przykładów sprostywania sztuki III Rzeszy. Jest niebezpieczny, ponieważ utożsamia hitlerizm z patriotyzmem.

O to, aby młode pokolenie wyrobiło sobie właściwy sąd o osiągnięciach hitlerizmu dbają nie tylko ludzie interesu i autorzy żołnierskich serii wydawniczych. Istnieje cała dziedzina literatury politycznej, która gloryfikuje niemiecką przeszłość i broni hitlerizmu. Ostatnio na rynku czytelnicy ukazało się kilka nowych wydawnictw, których twierdzenia potrafią wprawić w osłupienie każdego zdrowo myślącego człowieka.

Nie wiemy, kto to jest S. Barnick. Podobno para się historią. Podobno jest naukowcem. To jednak, co zaprezentował w swojej książce pt. „Deutschlands Schuld am Frieden”, nie ma nic wspólnego ani z nauką, ani z historią. Według Barnicka odpowiedzialni za karierę i wzrost Hitlera byli nie Niemcy, ale prezydent amerykański Wilson, który zniszczył „system wyższego porządku i wieku”, tzn. imperium Hohenzollernów. Barnick uważa, iż wina Niemców polega tylko na tym, że ponieśli oni klęskę w tym, co powinno się udać zgodnie z ich zdolnościami. Nie

wiedzielo o tym. Natomiast prawdziwymi zbrodniarzami byli alianci. Są to „kaci z Norymbergi i Tokio”, którzy popełnili masowe zbrodnie na niewinnych Niemcach.

W oczach Barnicka III Rzesza była krajem „stałe milującym pokoj”, a niemieccy mówili stanu rozumieci „wartości umiarkowania”. Ani za cesarza, „ani później” (za Hitlera) Niemcy nie chcieli atakować obcych terytoriów. „Na początku drugiej wojny światowej — pisze Barnick — Hitler był naprawdę skromny i jedynym jego celem był powrót Gdańska do Rzeszy i powrót eksterytorialnego korytarza między Pomorzem i Prusami Wschodnimi... Dopiero po odrzuceniu pokojowej oferty Hitlera i jego propozycji zlokalizowania wojny... stopniowo rozszerzała się jego uprzednia ograniczona koncepcja władzy i potęgi”.

Czy w świetle tych faktów można się dziwić, że w ostatnich wyborach do Bundestagu na skrajnie prawicową, faszystowską partię „National-Demokratische-Partei Deutschlands” padło 600 tysięcy głosów? Ponad pół miliona dorosłych mieszkańców NRF, w przeważającej części młodych ludzi, opowiedziało się za jawnie faszystowskim programem.

Raport bońskiego ministerstwa nie przejmuje się zbyt wiele zbierającą falą brunatnych idei. Analiza przyczyn odradzenia się faszyzmu w NRF musiałaby bowiem doprowadzić do wniosku, że pełną winę za to zjawisko ponosi rząd zachodniemiecki. Jego fałszywa polityka w sprawie zjednoczenia Niemiec, odwetowe stanowisko wobec granicy na Odrze i Nysie i negatywny stosunek do powojennych przemian we wschodniej Europie tworzy sprzyjające warunki dla rozwoju organizacji i idei faszystowskich.

„Państwo i społeczeństwo — stwierdziło zachodniemieckie postępowe pismo ewangelickie „Stimme” — dla których antykomunizm — podobnie jak pod władzą hitlerowską — stał się politycznym hasłem, przy pomocy którego dąży się do zbrojeń łącznie ze zbrojeniami atomowymi, gdzie antykomunizm jest „duchowym” pokarmem Bundeswehry, takie państwo i społeczeństwo, czy chcą tego czy nie, stają się podatnym gruntem dla faszyzmu”. (jb)

**NAJPEWNIJSZYM SPOSOBEM
TERMINOWEGO
OTRZYMYWANIA
„KAMENY”
JEST PRENUMERATA**

TYSIĄCLECIE I RZESZOWSZCZYNA

Rozmowa z I sekretarzem KW PZPR w Rzeszowie

Władysławem Kruczkim

— Towarzyszu Sekretarzu, rok bieżący stanowi kulminacyjny punkt obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Sądzę, że ten problem może stanowić kanwę naszej rozmowy.

— Nie chciałbym zabierać chleba historykom, zresztą Tysiąclecie to temat bardzo obszerny. Tereny należące do dzisiejszego województwa rzeszowskiego, tak jak i cała Polska, przeżywały swoje wznioły i upadki. Faktem jest, że kultura materialna rozwijała się tu już od epoki kamiennej poprzez epokę brązu. Krzyżowały się wpływy celtyckie i rzymskie. Już we wczesnym średniowieczu liczne grody wzdłuż Sanu — Przemysł, Sanok, Jarosław — potwierdzały istnienie wysoko zorganizowanej społeczności. O szczególnym ożywieniu życia politycznego, gospodarczego i społecznego możemy mówić mając na myśli wieki XIV—XVI.

Renesans i reformacja na naszych ziemiach jest jedną z najpiękniejszych kart w historii kultury polskiej. Wszystkim znane są nazwiska sławnych humanistów i przedstawicieli okresu Odrodzenia jak Paweł z Krosna, Bernard Wapowski z Wapowic, Marcin Kromer z Bieszczad, Grzegorz z Sanoka, Mikołaj Husowczyk z Husowa, Walenty Czuji, rektor szkoły w Przemyslu, czy też późniejszych myślicieli i pisarzy — Andrzeja Maksymiliana Fredry, Wacława Potockiego, Mikołaja Sępa Sarzyńskiego i wielu innych.

Wadliwy ustrój społeczno-gospodarczy, wielonarodowy skład dawnej Rzeczypospolitej, błędna, szkodziła polityka polskiej magnaterii doprowadziły jednak Polskę do rozbiorów. Rzeszowszczyzna przypadła Austrii. Właśnie w okresie zaboru austriackiego Ziemia Rzeszowska stanowiła najbardziej jaskrawy przykład tzw. „nędzy galicyjskiej”, wyzysku i ucisku przez rodzimych panów, a także eksploatacji i ucisku narodowego ze strony zaborcy. Na takim właśnie podłożu rozwijały się walki klasowe, zrodził się bunt chłopów w 1864 r. W konsekwencji przyczyniło się to do zniesienia pańszczyzny.

Po nadaniu Galicji pewnej autonomii w 1867 r. Ziemia Rzeszowska zasłynęła z pędu do oświaty, z budzenia się patriotyzmu wśród szerokiego mas ludowych, a przede wszystkim — powiedziałbym — z pionierskiego, burzliwego wkraczania ich na arenę życia politycznego. W 1892 r. powstają w naszych miastach pierwsze organizacje polityczne ruchu robotniczego — oddziały PPSD Galicji i Śląska Cieszyńskiego. W Rzeszowie w 1895 r. zostaje założone Stronnictwo Ludowe.

Rzeszowszczyzna może się też słusznie szczycić tym, że w ciągu szeregu lat wniosła szczególnie duży wkład do walki o Polskę Ludową, o rządy robotniczo-chłopskie. Masy ludowe chciały nie tylko niepodległości narodowej ale sprawiedliwości społecznej. Rady robotniczo-żołnierskie w Przemyslu, rady robotniczo-chłopskie w Sanoku i Nadolanach, tzw. „Republika Tarnobrzaska” stworzona przez radykalnego działacza ludowego, późniejszego działacza KPP Tomasza Dąbala i ks. Eugeniusza Okonia — to piękne karty rewolucji.

KPP, KPZU, radykalna Niezależna Partia Chłopska dobrze dały się we znaki rządowi burżuazyjno-obzarniczym. Chłopi nie mający z czego żyć organizowali strajki i powstania chłopów leskich, krwawo stłumione przez policję. Do wyjątkowo masowej manifestacji około 15 tys. chłopów doszło w 1936 r., właśnie 30 lat temu, w Nowosielskich koło Przeworska. Ta manifestacja weszła do historii naszego narodu jako symbol wspólnej walki ludowców i komunistów w ramach Frontu Ludowego z rządem sanacyjnym. Na ręce Rydza Śmigłego złożono wówczas petycję żądając zmiany konstytucji, nowych demokratycznych wyborów do Sejmu i Senatu, zerwania paktu z Hitlerem. Nowy powszechny strajk chłopów wybuchł w 1937 r. Wówczas na Rzeszowszczyźnie zginęło z rąk policji 42 chłopów.

Lata hitlerowskiej okupacji to no-



Fot. M. Kopeć

wa karta wielkiego patriotyzmu mas ludowych. Na Rzeszowszczyźnie kształtuje się front narodowy do walki o wyzwolenie narodowe i rządy robotniczo-chłopskie. Ale i po powstaniu władzy ludowej długo jeszcze toczyły się walki z bandami NSZ i UPA, tysiące ofiarnych działaczy, żołnierzy, pracowników służby bezpieczeństwa oddało swoje życie...

— Start władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie był szczególnie trudny. Mimo jednak tego trudnego startu Wasze województwo dokonało olbrzymiego skoku. Dane statystyczne mówią, że tempo rozwoju produkcji globalnej przemysłu było tu szybsze aniżeli wynosiła przeciętna krajowa. Co na to wpłynęło?

— Można odpowiedzieć w lapidarnym skrócie: nakreślony przez partię i rząd program rozwoju mieszkańców Ziemi Rzeszowskiej uznali za własny i czynnie włączyli się do jego realizacji. Takie stwierdzenie brzmi dziś jednak jak slogan, my przyzwyczailiśmy się już operować konkretnymi liczbami, tym bardziej, że wymowa ich jest nieodparta. Nie przesadzaj, jeśli powiem, że w ciągu ostatnich 21 lat na Rzeszowszczyźnie zaszły poważniejsze zmiany niż w okresie 979 lat poprzednich, kiedy to poszczególne procesy społeczne czy ekonomiczne odbywały się w zwolnionym tempie. Przede wszystkim zatroszczyliśmy się o rozwój przemysłu, który zlikwidował bądź ciągle jeszcze likwiduje nadwyżkę zbędnych rąk w rolnictwie. Co roku rozbudowujemy się przemysł zatrudnia około 13 tys. nowych pracowników. Zatrudnienie w tym dziale wzrosło z 28,4 tys. w 1946 r. do 137 tys. przy końcu ub. roku i do ponad 320 tys. w całej gospodarce społecznej. Rozwinęły się wielkie zakłady przemysłowe i miasta — Rzeszów, stolica województwa, Stalowa Wola, Mielec, Dębica, Krosno, Gorlice, Sanok. Rośnie Tarnobrzekie Zagłębie Siarkowe. Zmienia się oblicze Przemysła, Łańcuta i Jarosławia.

A spójrzmy na wieś. W 1939 roku tylko jeden procent wsi miał światło elektryczne. Ten jeden procent to trzy wieś zelektryfikowane za czasów austriackich i trzy — za czasów sanacyjnych. Dziś jedynie 20 procent wsi pozostało jeszcze nie zelektryfikowanych.

Mówiliśmy o trudnym starcie. Jeśli chodzi o wieś ten trudny start uwiadcza się szczególnie. Wskutek działań wojennych i dywersyjnej działalności band UPA zostało zniszczonych ponad 50 tys. zagrod wiejskich. Katastrofalnemu wyniszczeniu uległo pogłowie inwentarza żywego. W r. 1945 mieliśmy w porównaniu z r. 1939 o 58 proc. mniej bydła (średnia krajowa zniszczyła —

34 proc.), o 86,7 proc. mniej trzody chlewnej (średnia krajowa — 18 proc.). Obniżyły się też — i tak niskie przed wojną — plony czterech podstawowych zbóż.

Reforma rolna złagodziła nieco chroniczny głód ziemi, rozwój przemysłu spowodował korzystne zmiany strukturalne wśród mieszkańców, ale ciągle jeszcze, przy tak olbrzymim rozbudowaniu gospodarstwa rodzą się trudności. Prawie 50 proc. gospodarstw na wsi rzeszowskiej — to gospodarstwa do 2 hektarów. Niemniej średnie plony czterech podstawowych zbóż za ostatnie cztery lata wynoszą 16,2 q z ha, a więc o 6,2 q więcej niż przed wojną. Znacznie wzrosły również plony

ziemniaków i buraków cukrowych, a także roślin przemysłowych i pastewnych. Działalność kółek rolniczych objęła już 95 proc. wal. W ich posiadaniu znajduje się ponad 2000 traktorów, trzykrotnie więcej niż w 1961 r.

W ostatnich pięciu latach zainwestowano w rolnictwie ok. 2 mld złotych ze środków państwowych. Fundusze te pozwoliły m. in. na zmeliorowanie ok. 30 tys. ha gruntów ornych, 13 tys. ha łąk i pastwisk. Skuteczną formą oddziaływania państwa na intensyfikację produkcji rolnej było rozszerzenie pomocy kredytowej dla rolników. W okresie ostatnich pięciu lat udzielono rolnikom ponad 2,5 mld zł kredytów krótko i długoterminowych, w tym głównie na budownictwo mieszkaniowe i gospodarcze. Co roku wydajemy ponad 15 tys. zezwoleń na budowę. Ta liczba jest szczególnie wymowna.

— Ważnym problemem jest zagospodarowanie Bieszczad. „Kamena” kilkakrotnie pisała już na ten temat. Niektóre jeszcze ścierają się poglądy: czym mają być Bieszczady — rejonem rolniczym czy turystycznym?

— Te dwa poglądy można łatwo pogodzić. Zresztą, moim zdaniem, wiążą się one ściśle ze sobą. Rozwój osadnictwa w Bieszczadach, a więc rozwój rolnictwa, to jednocześnie baza zaopatrzeniowa dla turystów. Wydałiśmy około 2 mld złotych na realizację zadań określonych w uchwale rządu z 1959 r. Wybudowaliśmy 213 osad leśnych, 67 km dróg leśnych, 36,9 km kolei leśnej, 173 km dróg, w tym tzw. obwodnicę bieszczadzką, która szczególnie przyczyniła się do aktywizacji tych terenów. Ukończyliśmy budowę zapory i elektrowni wodnej na Sanie w Myczkowcach, kontynuujemy budowę zapory i elektrowni w Solinie. Przekazaliśmy też do użytku kilka ważnych obiektów turystycznych. A więc pierwsze kroki mamy już poza sobą.

W Bieszczadach osiedliło się około 1000 rodzin. 2000 rodzin mogłoby się jeszcze osiedlić. Nie chcemy jednak działać pochopnie, gdyż zdarzały się wypadki marnotrawienia kredytów.

Poważnym problemem jest wypas owiec. Najchętniej widzielibyśmy stworzenie gospodarstw hodowlanych PGR i kółek rolniczych z trwałymi bazami. Dotychczas wypas owiec odbywa się często systemem koczowniczym. Górale niezbyt chętnie chcą się tu osiedlić, wracają w rejony tatrzańskie. Na dłuższą metę nie będziemy mogli dopuszczać do dewastacji tych terenów.

— Pozostały nam jeszcze problemy oświaty i kultury...

— I to jest bardzo obszerny temat. W naszym województwie, które rozwija się tak prężnie, ciągle jeszcze odczuwamy duży brak pra-

cowników z wyższym specjalistycznym wykształceniem zawodowym. Dlatego szczególnie cieszymy się z faktu, że Rzeszów awansował do rangi miast akademickich. Mamy tu już dzisiaj Wyższą Szkołę Inżynierską, Wyższą Szkołę Pedagogiczną, Punkt Konsultacyjny Wydziału Budowlanego Politechniki Krakowskiej, Punkt Konsultacyjny Zaocznego Wydziału Prawa i Zawodowe Studium Administracyjne Uniwersytetu im. Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie. Łącznie na studiach dziennych i zaocznych kształci się w tych uczelniach ponad 2600 osób z całego województwa. Jest to na pewno duże osiągnięcie. Ważne jest jednak to, by było ono pomnażane zarówno pod względem ilościowym jak i jakościowym. Musimy uczynić wszystko, aby studenci wspomnianych uczelni osiągnęli jak najlepsze wyniki w nauce, by po ukończeniu studiów stanowili dojrzałą kadrę zarówno pod względem zawodowym jak i ideowym.

Szczególnie, a chcę to podkreślić dlatego, że „Kamena” wychodzi w Lublinie, zasłużył się dla naszego województwa UMCS. Dzięki jego inicjatywie, serdecznie przez nas popartej, powstało w Rzeszowie siedem i pół roku temu Zawodowe Studium Administracyjne, a później Zaoczne Studium Wydziału Prawa.

O rozwoju szkolnictwa podstawowego i średniego mogą mówić liczby. W latach 1946—1965 zbudowaliśmy na Rzeszowszczyźnie 690 obiektów szkolnych, w tym 31 internatów. Do szkół podstawowych uczęszcza obecnie 272 tys. uczniów, do liceów ogólnokształcących — 21712. Liczba szkół zawodowych wzrosła np. z 56 w 1946 r. do 478 w 1966 r., a liczba uczniów powiększyła się z 4813 w 1946 r. do 68104 dzisiaj.

O samej kulturze już nic nie będę mówił, mieliście w „Kamieniu” kilka artykułów na ten temat, które dość wszechstronnie potraktowały to zagadnienie.

Oczywiście — kończy tow. Władysław Kruczek — nie wyczerpaliliśmy całego tematu — Rzeszowszczyzna na tle Tysiąclecia. W jednej rozmowie można tylko pobieżnie wspomnieć o tym, co osiągnęliśmy. Ale i tak te liczby, które wam podałem dla ilustracji tematu, są bardzo charakterystyczne. Chciałoby się zapytać kardynała Wyszyńskiego, czy nasze wielkie kombinaty są rzeczywiście, jak on twierdził w jednym z kazań, „narzędziem wtórnego zniewolenia współczesnego człowieka”? Polska rzeczywistość pokazała całemu światu „jak się brać do komunizmu”, pokazała jednak inaczej niż chciałby tego kardynał. Pokazała — poprzez twórczą pracę. Osiągnięcia naszego województwa to jeszcze jeden namacalny przykład!

Rozmawiał:

Marek A. Jaworski

Dobre tradycje

Inicjatywy kulturalne

Najchętniej pisze się o efektywnych zjawiskach kulturalnych, ponieważ wiadomo, że zainteresują one szerszy ogół czytelników. W województwie katowickim nie brakuje takich ciekawych inicjatyw kulturalnych. Należą do nich m. in. niedawno zorganizowane, a już wysoko cenione ogólnopolskie wystawy plastyki w Bielsku-Białej i plakatów w Katowicach, które otwierają nową perspektywę przed katowickim środowiskiem twórczym.

Ponimo kuszącej atrakcyjności podobnych faktów, zwrócić jednak uwagę na sprawę codzienną, bo od wielu lat ściśle związaną z całokształtem kultury Górnego Śląska — na amatorskie zespoły artystyczne. Działają one w oparciu o wszechstronną pomoc Związku Zawodowego Górników i rozwijają się w tempie gdzie indziej nie spotykamy. Kontrowersyjność tematu jest dodatkowym argumentem uzasadniającym jego rozpatrzenie.

Dyskusja o celach i formach amatorskiego ruchu artystycznego toczy się bowiem nie od dzisiaj. Trudno jednak oczekiwać, aby w najbliższym czasie udało się doprowadzić do jednolitego stanowiska, z którego jedno kładzie główny nacisk na dalszy rozwój dotychczasowych form tego ruchu, modyfikowanych jedynie ogólną ewolucją kultury, a drugie zwraca uwagę przede wszystkim na działalność oświatową, mniejsze znaczenie przywiązując do zespołów estradowych, tanecznych czy chóralnych.

Ten drugi pogląd, dość zresztą rozpowszechniony, dysponuje racjami o pozornej większej wadze. Słyszmy więc często, że zespół amatorski jest tylko miernym naśladowcą twórczości profesjonalnej, a wykonawcy karykatura autentycznych artystów, że koszty ludzkiego wysiłku, strojów, dekoracji itp. są nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do nikłych rezultatów. Czy można zresztą mówić — kontynuują przeciwnicy amatorsztwa — o jakiegokolwiek wartościowych rezultatach tej działalności, która często ogranicza się do kształ-

towania tanich upodobań, a jednocześnie hoduje nikomu niepotrzebne ambicje?

Podobne wywody kończą się zazwyczaj stwierdzeniem: lepiej rozwijajmy oświatę, ułatwiamy ludziom korzystanie z autentycznych wartości kulturalnych, nie pielęgnujmy na siłę rzeczy już przesyżone.

Wszystkie te argumenty i stwierdzenia są w znacznym stopniu praw-

TADEUSZ GRABA

dziwe. Szczególnie tam, gdzie z wielu złożonych względów nie zachowała się ciągłość tradycji, gdzie ta tradycja — kulturalna, obyczajowa — dopiero się rodzi i powoli naradza. Ale w regionach, w których z pokolenia na pokolenie przekazywane są zwyczaje i inne wartości określające charakter kultury, rezygnacja z amatorskich zespołów artystycznych byłaby równocześnie przekreśleniem tradycji: narodowej, społecznej i politycznej. Do takich właśnie terenów Polski należy Górnego Śląska.

Dzieje amatorskiego ruchu artystycznego zaczęły się tutaj w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego wieku; był on wówczas naturalną formą walki klasowej i narodowej. Liczne kółka, kasyna, towarzystwa śpiewacze i teatralne z powodzeniem kulturowy i ochraniały język polski. Podobna funkcja spełniła w okresie powstania śląskiego i plebiscytu i wtedy właśnie powstała zwięźsza i silniejsza ich liczbą: niektóre z nich dotrwały do dzisiaj. W dwudziestolecie międzywojennym ruch amatorski, choć pozbawiony masowości, nie zamarł. Grupy podwórkowych artystów zwanych „eltrami” wędrowały od domu do domu, bawiły cerykami i sztukami, ciętą satyrą społeczną i muzyką. Przez wszystkie dziesięciolecia towarzyszyły górnikom — w manifestacjach, świętach, zaba-

wach i strajkach — orkiestry dęte, wzniesione w pejzaż śląskiej kultury i obyczajów.

Te wszystkie chóry, zespoły teatralne, orkiestry, z takim pletzem odnoszące się do polskości i tak mocno związane z życiem i pracą górników, skupity w sobie najbardziej wartościowe cechy swoistej plebejskiej kultury. I kiedy dziś pytamy o sens rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego, nie wolno nam zapominać, że kryterium oceny, ograniczone do jakości artystycznej, w tym wypadku nie wystarcza. Działające bowiem zespoły amatorskie kontynuują tradycje tamtych, sprzed lat, które miały charakter społeczny i narodowy. Niewątpliwie przyjdzie taki moment, kiedy staniami wobec faktu kultury jednolitej, uniwersalnej. Chwila ta nie jest jednak aż tak bliska, aby już teraz rezygnować z dalszego popierania naturalnego rozwoju twórczości amatorskiej. Zresztą główny mecenasz, jakim jest Związek Zawodowy Górników, nawet nie myśli o zmniejszeniu pomocy.

Obecnie istnieje ok. 1000 różnych górniczych zespołów artystycznych, w tym estradowe, taneczne, chóralne, muzyczne i teatralne. Wiele z nich występowało za granicą: w NRD, Czechosławii i na Węgrzech. A zespół kopalni Jaworzno zdobył II miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym na Sycylii. Także Filharmonia Górnicza w Zabrzu oraz chór „Siemianowice” są dobrze znane nie tylko w kraju. Przy wielkim wzroście ilościowym, podnosi się zarazem poziom artystyczny zespołów, które cieszą się rzeczywistą popularnością w środowiskach górniczych. W latach 1958—1964 zespoły amatorskie występowały 12723 razy, a oglądało je ponad 5 milionów widzów. Jeżeli cyfry te i fakty nie przekonują przeciwników amatorskiego ruchu artystycznego, pragnę dodać, że również dynamicznie rozwija się działalność oświatowa, finansowana przez Związek Zawodowy Górników. Na przykład: w 21 uniwersytetach robotniczych dokształca się ponad 4000 osób.

Anna Achmatowa (1889 - 1966)

URODZIŁAM się 11 (23) czerwca 1889 roku pod Odessą (Wielki Fontan). Ojciec w tym czasie był dymisjonowanym inżynierem-mechanikiem floty. Jako dziecko przewieziono mnie na północ — zrazu do Pawłowska, później do Carskiego Siola.

Moje pierwsze wspomnienia związane z Carskim Siolem: zielona, wilgotna wspaniałość parków, wygon, dokąd prowadziła mnie niania i a przechadzkę, hipodrom, gdzie cwałowały małe pstrokate koniki, stary dworzec kolejowy.

Lato każdego roku spędzałam pod Sewastopolem nad brzegiem małej zatoki Strzeleckiej i tam zaprzyjaźniłam się z morzem. Najświeższe wrażenie z tych lat to starożytny Chersones, w pobliżu którego mieszkaliśmy.

Czytała nauczyłam się z alfabety Lwa Tołstoja. Mając pięć lat słuchałam, jak nauczycielka uczyła starsze dzieci i tak samo zaczęłam mówić po francusku.

Pierwszy wiersz napisałam mając jedenaście lat. Wiersze zaczęły się dla mnie nie od Puszkina i Lermontowa, ale od Dzierżawina („Na narodziny monarszego syna”) i Niekrasowa („Mróz — Czerwony nos”). Te utwory mama moja umiała na pamięć.

Uczyłam się w Carskosielskim Gimnazjum Żeńskim. Z początku źle, potem coraz lepiej, ale zawsze niechętnie. Ostatnią klasę przechodziłam w Kijowie, w Gimnazjum Funduklejewskim, które ukończyłam w 1907 roku.

Wstąpiłam na wydział prawny Wyższych Kursów Żeńskich w Kijowie. Dopóki miałam do czynienia z historią prawa i zwłaszcza z łaciną, byłam zadowolona, kiedy zaś zaczęły się przedmioty ściśle prawnicze, do kursów ochłodziłam.

Przeprowadziwszy się do Petersburga uczyłam się na Wyższych Kursach Historyczno-Literackich Rajewa. W tym czasie pisałam już wiersze. Kiedy mi

pokazano „Cyprysowa szkatulka” Innocentego Annińskiego, tak mnie zachwyciła, że czytałam ją zapomniawszy o całym świecie.

W r. 1914 wyraźnie zaznaczył się kryzys symbolizmu i początkujący poeci już nie przyłączali się do tego kierunku. Jednych pociągał futurizm, innych — akmeizm. Ja zostałam „akmeistką”. Dwie wiosny (1915—1916 r.) spędziłam w Paryżu, gdzie byłam świadkiem pierwszych triumfów rosyjskiego baletu. W 1917 r. odbyłam podróż po północnych Włoszech (Genua, Piza, Florencja, Bolonia, Padwa, Wenecja). Wra-

KRÓTKO O SOBIE

zenie, jakiego doznałam na widok włoskiego malarstwa i architektury, było olbrzymie: przypominało senne widzenie, zapamiętane na całe życie.

W roku 1912 ukazał się mój pierwszy zbiorek wierszy „Wieczór”. Wydrukowano tylko trzydzieści egzemplarzy. Krytyka odniosła się do niego zyczliwie. W marcu 1914 roku wyszła druga książka — „Różaniec”.

Każde lato spędzałam w byłej guberni twerskiej 15 wiorst od Bielecka. Nie jest to miejsce malownicze: pola zarane na wzgórzach w równe kwadraty, młyny, trzęsawiska, osuszone bagna, zboża i zboża... Tutaj napisałam prawie całe „Białe stado”. Ukazało się we wrześniu 1917 roku.

Po Rewolucji Październikowej pracowałam w bibliotece Instytutu Astronomicznego, współpracowałam z różnymi wydawnictwami. W 1921 r. wyszedł zbiorek moich wierszy — „Dmucha-wiec”, a w 1922 r. książka „Anno Domini”.

Mniej więcej od połowy lat dwudziestych zaczęłam bardzo gorliwie i z dużym zainteresowaniem zajmować się architekturą starego Petersburga i stu-

diami nad życiem i twórczością Puszkina. Jako rezultat moich puszkiniowskich studiów powstały trzy prace — o „Złotym koguciku”, o „Adolfie” Beniamina Constanta i o „Gościu kamiennym”. Wszystkie w swoim czasie ukazały się w druku. Obecnie przygotowuję książkę „Śmierć Puszkina”.

Wojna Ojczyźniana w 1941 r. zastała mnie w Leningradzie. W końcu września, już podczas blokady, wyleciałam samolotem do Moskwy.

Do maja 1941 r. mieszkalam w Taszkencie i chciwie chwytalam wiadomości o Leningradzie, o froncie. Jak i inni poeci często występowałam w szpitalach, czytałam wiersze rannym żołnierzom. W Taszkencie po raz pierwszy odczułam, czym są w palącym żarze cień drzewa i szmer wody. I jeszcze doświadczyłam, czym jest ludzka dobroć: w Taszkencie wiele i ciężko chorowałam.

W maju 1941 r. przyjechałam do wiosennej Moskwy, już pełnej radośnych nadziei i oczekiwań bliskiego zwycięstwa. W czerwcu wróciłam do Leningradu.

Od dawna interesowałam się zagadnieniem artystycznego przekładu. W ostatnich latach po wojnie dużo tłumaczyłam. Zwłaszcza zachwycały mnie stare poezje koreańskie i serbski epos narodowy. Czytelnik tej książki zobaczy, że nie przestawałam pisać wierszy. W nich tkwi mój związek z czasem, z nowym życiem mojego narodu. Kiedy je pisałam, żyłam tym samym rytmem, który rozbrzmiewał w bohaterskiej historii mojego kraju. Jestem szczęśliwa, że żyłam w tych latach i widziałam wydarzenia, którym nie było podobnych.

(Wyjęte z antologii: Anna Achmatowa „Wiersze” 1909—1960. Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej, Moskwa 1961).



DRUGA ELEGIA ZIMOWA

Bywa dzień taki przed nastaniem wiosny:
Łąka pod śniegiem jeszcze odpoczywa,
A suche drzewa szumią pieśń radosną,
I ciepły wietrzyk łagodnie przepływa.

I dziwi się lekkości swojej ciała,
I nie poznajesz całkiem domu swego,
I piosnkę, która ci się oklepała,
Nucisz wzruszony jakby coś nowego.

Wieczorna zorza złoci świat,
Kwietniowy lekki chłód się wkrada.
Spóźniłeś się o dziesięć lat,
Ale i tak ci jestem rada.

Tutaj koło mnie bliżej siadaj,
Niech oczy śmieją się najszczerzej:
Po tym reszcie wzrokiem błądź —
To są dziecinne moje wiersze.

Wybacz, że obcy mi był śmiech,
Ze słońcem się cieszyłam mało.
I wybacz, wybacz mi ten grzech,
Żem wielu tu za ciebie brała.

Węgłem zaznaczył w lewym boku znak —
Miejsce, gdzie ulkwi grot,
Po to, by pomknął mej tęsknoty płak
Pustynną nocą w lot.

Miły! Mieć pewną rękę chciej!
Wnet koniec moich mąk.
Wyleci płak tęsknoty mej,
Siadzie na drzewie nucąc w krąg.

By ktoś otrząsnął się z cichego snu,
I otwarł okno mówiąc w mrok:
„Głos mi znajomy, a nie pojmę słów”,
I spuścił nagle wzrok.

Ciężka prawda jest miłosnych wspomnień,
W niej się żarzy, w niej się spalać muszę.
A dla innych to jest tylko płomień,
Aby grać w nim wyziębioną duszę.

Aby grać w nim przesycone ciało,
Gorzkich łez mych im do tego trzeba.
Czyżbym po to więc, Panie śpiewała
I komunij miłości przyjęła?

Daj mi takiej trucizny, co sprawi,
Że mi usta zawrze już milczenie,
I nareszcie bezsławną mą sławę
Rozświetlonym omyj zapomnieniem.

Rozróżnić można trzy epoki wspomnień.
I pierwsza z nich to jak wczorajszy dzień.
Dusza pod stropem ich błogosławionym
I ciało w cieniu ich doznają szczęścia.
Jeszcze nie zamarł śmiech, lzy płyną jeszcze,
Na stole jeszcze nie wytarty kleks
I jak na sercu pieczęć, ocalaunek —
Niezapomniany, jedyny, ostatni...
Ale to zwykle ciągnie się niedługo...
Nad głową już nie strop, lecz zamiast niego
Gdzieś na przedmieściu głuchym dom samotny,
Gdzie pajęczyna i kurz jest na wszystkim,
Gdzie już butwieją najgorętsze listy,
Gdzie się ukradkiem zmieniają portrety,
Dokąd się chodzić zwykło jak na cmentarz,
A po powrocie ręce myć starannie
I strząsać leżkę przelotną, by ulżyć
Zmęczonym oczom — i ciężko powzdychać...
Lecz zegar tyka i wiosny mijają
Jedna za drugą, różowieje niebo,
Kolejno się zmieniają nazwy miast

To wszystko pojąłbyś ty jeden tylko...
Kiedy bezsenny mrok dokoła włada,
Tamta słoneczna konwaliowa chwilka
W grudniowej nocy tej ciemności wpada. —
I znów na drodze się przy tobie jawię,
I ty się śmiejesz swym beztroskim śmiechem,
Lecz las świerkowy i szuwar w stawie
Odpowiadają jakimś dziwnym echem.
Jeśli zmarłego budzę tym wspomnieniem,
Wybacz mi, ale nie mogę inaczej:
Tęsknię za tobą jak za drogim cieniem,
Zazdrościć muszę temu, co dziś płacze.
Kto może płakać w tej strasznej godzinie
Widząc tych, co tam na dnie jaru leżą...
Lecz wykiptały mi lzy i nie spłynię
Wilgoć, co koł i oczy odświeża.

1942

Wszystkie przekłady
K. A. Jaworskiego

I nie ma świadków już tamtych wydarzeń,
Nie ma z kim plakać ani z kim wspominać.
I oddalają się powoli cienie,
Które przestaliśmy już przywoływać
I których powrót byłby dla nas straszny.
I kiedyś ze snu się budząc widzimy,
Żeśmy już nawet zapomnieli drogę
Do tego domu, co nam był tak drogi.
I zadyszani ze wstydu i gniewu
Biegniemy tam, lecz (jak to bywa we śnie)
Tam wszystko inne: ludzie, rzeczy, ściany
I nawet nikt nas nie zna — myśmy obcy!
Myśmy nie tam trafil... O mój Boże!
I wtedy — oto co najbardziej gorzkie —
Świadomość: jak w naszym życia ramach
Zmieścić tę przeszłość — nie ma dla niej miejsca
I ona prawie tak samo nam obca
Jak dla sąsiada naszego za ścianą:
I nie poznalibyśmy tych, co zmarli,
A ci, z którymi Bóg nas porozłączał,
Bez nas obesli się zupełnie dobrze —
I nawet wszystko ma się ku lepszemu...

MARINA CWIETAJEW

Z cyklu „Muza”

O, Muzo płaczu, o najpiękniejsza z muz!
O ty, pomiole błędny nocy biały!
Ty czarną zamięć zsyłasz na Ruś —
I jęki twoje wrzynają się w nas jak strzały.

I my odśkakujemy, i głuche: och! —
Stutysięczne — przysięga tobie, Anno
Achmatowa! Two imię to ogromny szloch,
I pada ono w głąb, co nie ma miana.

Nas koronuje to, że z tobą wraz
Depcemy ziemię, że to samo nad nami
przestworze!

I ten, którego na śmierć zwali twego losu
głaz,
Już nieśmiertelny śladzie się w śmiertelne
łoże.

W mym śpiewnym mieście płonie kopuła sto
I Zbawiciela wielbi włóczęga brodaty...
Daruję ci to rozdzwonione miasto me,
Achmatowa! — i serce swoje na dodatek.

Inżynierska droga do pływające- go „masowca”

IERZY DOSTATNI

Patrzę do notesu — tak, gdzieś tutaj mieszka poszukiwany inżynier. Drapnę się na trzecie piętro jednego z nowych bloków i drzwi.

Niespodziewanie drzwi otwierają się i jakiś młody, z wyglądu bardzo młody człowiek, zaprasza mnie do środka. Jak może wyglądać główny konstruktor obrzyna, który w rozwoju polskiego przemysłu stoczniowego będzie oznaczał niemal równie wielki sukces, jak zbudowanie pierwszego pięciotysięcznika? Wchodzę do bardzo nowoczesnie umeblowanego pokoju nie bardzo wiedząc, czy pytać o ojca czy o starszego brata.

Na niskim stole leży arkusz bristolu, oświetlony jaskrawo kręgiem małej lampki. Ponad jakimś bardzo skomplikowanym dla laika rysunkiem czerni się duży, pisany reżimem tytuł: masowiec 23850 TDW. Potem jakieś angielskie nazwy i symbole zgodnie z wymaganiami Lloyd's Register of British and Foreign Shipping, bez których statek nie mógłby wypłynąć na żadne morze świata. I gdzieś w prawym dolnym rogu charakterystyka po polsku: długość 175,6 m, szerokość 23,4 m, wysokość boczna (od dna do pokładu — przyp. J. D.) 14,75 m, zanurzenie 9,9 m, szybkość 15,5 węzła.

— Co to znaczy „masowiec”? — pytam, zatykając ucho na sam dźwięk tego słowa.

— To taka nazwa techniczna — mówi młody człowiek. — Nie brzmi pięknie, ale nie na to nie poradzę: No i tak musiałem ochrzcić swoje dzieło, bo przecież musi się zmieścić w ustalonej klasyfikacji.

A więc ten młody człowiek o nieco zakłopotanej minie to sam główny projektant?

— Masowiec to taki statek, który wozi ładunki masowe towarów, nie potrzebujących opakowania: rudy, węgla, zboża, koks. Posiada tylko jeden pokład. Rodzaj ładunków wymaga specjalnej konstrukcji bardzo dużej wytrzymałości. Wydaje mi się, że można jeszcze powiedzieć tak: zwykły statek, zwłaszcza mały, zawiera w sobie dużo architektury, głównie architektury wnętrza, a mało okrętownictwa — natomiast masowiec odwrotnie: mało, bardzo mało architektury, a dużo tego, co nazywamy okrętownictwem. I to właśnie jest pasjonujące, to ciągnęło mnie od dziecka.

— No właśnie — korzystam natychmiast z okazji — jak to się stało, że został pan konstruktorem statków? Z Nurczył do Szczecina droga daleka!

— Wie pan, że sam się nad tym nieraz zastanawiałem i nie umiałem znaleźć rozsądnej odpowiedzi. Gdybym był mahometaninem, mógłbym powiedzieć, że przeznaczenie. Ale to chyba nie tak. W rodzinie nie było żadnych morskich tradycji, książek podróżniczych czytałem bardzo mało, morza nie widziałem przez wiele lat. Ale, jak tylko pamiętam, ciągnęło mnie do budowania statków. Najpierw z papieru,

potem z kory i drewna. Puszczano je na stawie lub pobliskiej rzeczce i przeżywałem jakąś ogromną, niemożliwą do określenia radość, gdy nowy model popłynął dalej, niż poprzedni. I sam nie wiem dlaczego, ale nie myślałem o samym pływaniu, o podwrotnikowych morzach czy ruchliwych portach, o marynarskim mundurze czy pięknych dziewczętach z Bali. Chyba miałem 9 lat, gdy w swoim kącie koło pieca wiejskiej chałupy wyrzyłem gwoździem na ścianie słowo: stocznia. Dlaczego — sam nie wiem. Stocznia kojarzyła mi się już z czymś w rodzaju fabryki okrętów, ale jak wygląda naprawdę nie miałem oczywiście pojęcia.

— No, ale kiedyś musiało się zacząć?

— Tuż po zakończeniu wojny wybrałem się pieszo do Warszawy, gdzie mieszkała moja matka — wychowywałem się u rodziny w owych Nurczykach. Ale doszedłem tylko do Siedlec. Piętnastoletnie nogi — urodziłem się w 1930 r. — nie bardzo mogły iść dalej, a przede wszystkim zabrakło pieniędzy na jedzenie. Zgłosiłem się do jakiegoś chłopca jako pomocnik w gospodarstwie — miałem przecież praktykę. Po kilku miesiącach doznałem do Warszawy. I tu gwałtownie odżyły dawne zainteresowania. Właśnie uruchamiano liceum budowy okrętów na resztkach przedwojennego wydziału budowy okrętów szkoły inżynierskiej im. Wawelberga. Ale nawet nie chcieli przyjąć podania — najpierw trzeba było skończyć gimnazjum, a to wymagało dwóch lat pracy.

— Liceum w tym czasie przeniosło się już do Gdańska, a pan?

— Ja za liceum. W czerwcu 1947 roku były duże upały, a ja musiałem w pojedynkę wypełnić braki w geometrii. Egzamin z pierwszego przedmiotu poszedł słabo i byłem przekonany, że przepadłem. Przesiałem się więc denerwować, sądząc, że pytają dalej tylko dla formalności. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że zdałem wszystkie egzaminy, ale dość słabo, bo przyjęli tylko warunkowo. Na szczęście, po kilku dniach ktoś z przyjętych zrezygnował i zająłem jego miejsce.

— Teraz chyba wziął się pan do roboty na całego?

— Nie bardzo. Atrakcje dużego miasta, z którym zetknąłem się na stałe po raz pierwszy, były jednak dużymi złodziejami czasu. Na pierwszym roku miałem trzy dwójki i zdołałem je poprawić dosłownie w ostatniej chwili. Potem było już lepiej, ale nigdy wybitnie.

— No cóż — nie jeden wybitny później literat miał w szkole kłopoty z gramatyką i stylistyką...

— Dwumiesięczna praktyka w Stoczni Gdańskiej była zbyt krótką, aby można było o niej powiedzieć coś konkretnego. Ale chyba wypadła dość dobrze, bo znalazłem

się w grupie tych, których wysłano na studia do Instytutu Inżynierów Floty Morskiej w Odessie. Tu już inaczej traktowaliśmy studia — od pierwszego wykładu robiłem dokładne konспекty. Po niecałych 6 latach wróciłem z dyplomem magistra inżyniera i zacząłem pracować w wydziale obróbki kadłubów Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego.

— No i uciążliwie z tego projektowania...

— Właśnie. Biuro konstrukcyjne w Szczecinie formalnie już istniało, ale robiono tam tylko drobne uzupełnienia do tego, co przysłano z Gdańska. To nie mogło mi dać satysfakcji. Gdy jednak przed szczytnym CBKO w 1958 r. otworzyła się szeroka perspektywa, związana z planem dużego rozwoju naszej floty, przeniosłem się tam natychmiast. Najpierw byłem asystentem inż. mgr Mikołaja Thierry, który projektował całą serię statków dla Indonezji.

— A pierwsza samodzielna robota?

— Seria statków typu „Kolejarz”. To drobnicowce o pojemności 14500 TDW. Dwa — „Republika” i „Brno” zakupiła Czechosłowacja. Zaczęło się zresztą niezbyt szczęśliwie — wodowanie prototypu zostało opóźnione o jeden dzień, bo w jakiś przedziwny sposób wypadła zastawa. Mój drugi projekt to również — proszę zatkać ucho — masowiec 15600 TDW. W tym roku zaczęło się budowa pierwszego, w przyszłym eksploatacja. Będzie cała seria. No i teraz ten duży. Prace projektowe są już zakończone, od lipca robimy obliczenia dla Lloyd'a, potem projekt roboczy i kłopot z głową. Ale wróci, gdy zacznie się budowa. Wodowanie tego o pojemności 23850 TDW przewiduje się na początek 1968 r., potem co roku jeden. Zresztą zależy od zamówień.

— Wymyka z tego, że jest pan specjalistą od dużych statków. Gdzie zamierza się pan inżynier zatrzymać?

— To zależy od zamówień armatorów. W Szczecinie możemy budować statki do 35000 TDW, w Gdyni do 60000 TDW.

Patrzę na wielką szafę biblioteczną, wypełnioną książkami w różnych językach. Wśród wielu tytułów wyławiam kilka z dziedziny budowy samolotów. Czyżby inżynier zajmował się także...

— Nie, nie projektuję samolotów — śmieje się inż. Piskorz-Nałęcki, widząc moją zdziwioną minę. — Ale inżynieria lotnicza jest chyba najbliższą kuzynką inżynierii okrętowej. Wspólne są zagadnienia aerodynamiki, wytrzymałości materiałów, te same metody obliczeń sterów.

— Czy popłynął pan na jakiś dłuższy rejs? Czy na własny, prywatny użytek ma pan motorówkę lub chociażby kajak?

— Nie mam nawet żaglówki, nie ciągnę mnie. A MS „Kolejarzem”

popłynąłem do Aleksandrii i Casablanki — 35 dni na morzu. Poza portami raczej nudno. W dodatku jako główny projektant dostawałem najniższą ze wszystkich dietę — 50 centów dziennie. Odechciało się dalszych podróży. Od czasu do czasu płynę lub jeździę do Belgii lub Holandii. Są tam doskonałe baseny modelowe, z których korzysta nasze biuro. Niektórzy nazywają mnie rozbabiakiem, bo stałem wolam, że podobny basen musimy zbudować w Polsce, jeżeli myślimy poważnie o stałej rozbudowie floty i przemysłu stoczniowego. Ale jeszcze nie udało mi się przekonać tych wszystkich, którzy o tym decydują.

— No i ostatnie pytanie: o czym pan napisał pracę doktorską?

— Tytuł jest dość długi: Nowe ujęcie zagadnienia stateczności awaryjnej oraz metody jej uwzględnienia przy projektowaniu statków. Rzecz w tym, aby statek był tak zbudowany, że w razie awarii tonie — nie przewracając się. Brak stateczności w takiej sytuacji niewywołuje wszystkie inne osiągnięcia w dziedzinie zwiększenia bezpieczeństwa statków, przewidziane przepisami międzynarodowymi.

I tak oto zakończyła się droga, na początku której stał 9-letni Jurerek ze wsi Nurczyki, a na końcu której stoi teraz 36-letni, a wyglądający znacznie młodziej inż. Jerzy Piskorz-Nałęcki. Jeden z tych, którzy tworzą nową myśl techniczną, dzięki którym polski przemysł stoczniowy staje się światową potęgą.

P. S. Prawdę powiedziawszy, inżynier wcale nie urodził się w Nurczyku lecz w Warszawie. Ale rodzicom chrześnym po których tam z kolei „klinię” wszystko się popatało i przy sporządzeniu aktu urodzenia oświadczyli: Nurczyki. Fakt jest, że ojciec inżyniera pochodził ze Stoczki Łukowskiej, matka z owych Nurczyk, gdzie przyszył inżynier chował się przez 13 lat.



Ster podwieszony!

JÓZEF MAZURKIEWICZ

LUBLIN W TYSIĄCLECIU (III)

Okres upadku i reform

BUJNIE rozwijające się życie miasta koło połowy XVII wieku ulega wyraźnemu zahamowaniu. Wpłynęły na to wojny siedemnastowieczne oraz trudności wewnętrzne, wypływające z przeżywania się ustroju feudalnego. W okresie „potopu” miasto było niszczone przez nieprzyjaciół, gniebione wysokimi kontrybucjami oraz obciążane kosztami utrzymania wojsk, co przy stagnacji w handlu i rzemiośle oraz przy ubytku ludności dawało mu się tym więcej we znaki.

Był w Lublinie w czasie „potopu” i Kozacy z Rosjanami i Szwedzi, i Węgrzy Rakoczeży Siedmiogrodzkiego. Szczególnie przedmięcia uległy wielkim zniszczeniom. Księgi miejskie z tego czasu zawierają wiele wzmianek o zniszczeniach, dokonywanych przez wojska nieprzyjacielskie i o cierpieniach ponoszonych przez ludność. Zwykłym podówczas towarzyszem wojen i niepokojów były epidemie, mór — jak wtedy mówiono, który tak często występował i trwał latami. Obok „opresji” wojsk obcych — zbliżony charakter miały przemarsze wojsk własnych Rzeczypospolitej, nie oszczędzające Lublina i dobytku mieszkańców. Szczególnie dawały się we znaki często niepłatne oddziały wojskowe, starające się we własnym zakresie zaspokajać swoje pretensje o zaległy żołd. Hetman kozacki Wyhowski z Potiomkinem,

król Karol Gustaw szwedzki, Jerzy Rakoczy książę Siedmiogrodzki, komiśje wojskowe i delegaci wojskowi — to osoby, którym wypadło odegrać wówczas poważną rolę w życiu Lublina, oznaczającą zazwyczaj ofiary w dobytku, kontrybucje i różnego rodzaju „oprymacje”. Zniszczeniom i klęskom Lublina dają wyraz przywileje króla Jana Kazimierza z tych czasów mówiące m. in., że „miasto przyszło ad summam desolationem przez powietrze... i ustawicze żołnierza przechodzącego podziemnie...” oraz o „zniszczeniu Podzamcza lubelskiego... w perzynę obróconego przez nieprzyjaciela...”

Po „potopie” następują próby usunięcia skutków zniszczeń, ale nie trwa to wystarczająco długo. Z początkiem XVIII wieku przychodzą nowe wydarzenia dużej miary, jak przede wszystkim wojna Augusta II z królem szwedzkim Karolem XII oraz w konsekwencji wojna domowa. Nie sprzyjały to, oczywiście, rozwojowi miasta. Życie gospodarcze było słabe.

Zła sytuację gospodarczo-społeczną Lublina potęgają trudności natury wewnętrznej. Czasowo przeniesione do legacji słyne i poza granicami Polski Jarmarki lubelskie — już nie dają się wznosić w Lublinie. Stanowiło to dla życia gospodarczego miasta wielki cios. Napór szlachty na miasto, przejawiający się w nabywaniu gruntów miejskich a następnie w uwalnianiu się legalnym i nielegalnym od ciężarów i podatków miejskich oraz władzy magistratu miejskiego, rozpoczęły w XVI w., dochodzi do szczytu. Miasto żali się, że ze 100 łanów lokacyjnych pozostało mu nie wię-

cej niż 6 łanów, a reszta to różne posesje szlacheckie i duchowne, libertacje i jurdyki niezależne od miasta. Były to m. in. wyniki ustanowienia w Lublinie Trybunału Głównego Koronnego dla Małopolski. Przez to Lublin stał się przedmiotem specjalnego zainteresowania magnaterii i bogatszej szlachty, która w Lublinie budowała swe dwory i pałace.

Nie bez znaczenia także pozostawały wewnętrzne walki między mieszczanami. Rada miejska, reprezentująca rodzaj odrębnego stanu w mieście (patrycjatu), nie dopuszczała do istotniejszego udziału w publicznym życiu miasta ogółu obywateli (communitas — pospółstwo). Zarzucano Radzie nepotyzm, szafowanie pieniędzmi publicznymi na prywatny użytek, ukanie kontroli itp. W rezultacie w 1651 r. dochodzi do ustępstw Rady i ugody zawartej przy współudziale komisji królewskiej, na mocy której następuje demokratyzacja ustroju m. Lublina. Przyczyn można się doszukiwać w obawie przed niedawnymi wypadkami, związanymi z wojną z Chmielnickim. Powyższa ugoda nie zakończyła sporów wewnętrznych w mieście. Znów szły skargi do króla o nadużyciach i nastąpiła nawet druga ugoda w 1691 r. Do klęsk zaliczyć też należy pożary. Niektóre z nich (np. 1702, 1710 r.) zniszczyły dużą liczbę domów.

Pogorszenie się sytuacji gospodarczo-społecznej miasta wpłynęło także na jego życie kulturalne. Do przeszłości należał żywy ruch umysłowy z XVI w. i początków XVII w. Górujące wśród szkół lubelskich

kolegium jezuitów nastawione było prawie wyłącznie na młodzież średniej i bogatszej szlachty oraz nie reprezentowało ani treściowo ani metodycznie postępu w nauczaniu. Nie wyróżniał się też specjalnie teatr kolegium, wystawiający dość często sztuki o tendencjach moralizatorskich i religijnych.

Mimo tych wszystkich braków i zaniedbań Lublin od połowy XVII wieku odgrywał nieraz poważną rolę w życiu ówczesnej Polski. Jako siedziba Trybunału Głównego Koronnego (Iudiciorum Tribunalis Regni sedes) jest ośrodkiem zjazdów i zainteresowania szlachty całej Małopolski i mimo wszystkich zastrzeżeń szkołą palestry i magistratury sądowej.

W czasie wojny na Ukrainie w 1648 r. staje się swego rodzaju punktem wypadowym dla polskich poczynań zbrojnych. Od 1649 do 1656 r. bywa często miejscem pobytu króla Jana Kazimierza i dworu. Przejmuje część funkcji stałe zagrożonego Lwowa. Tu odbywały się posiedzenia senatorów, tu przyjmują się postępowe zagraniczne. Czasowo spełnia jakby rolę stolicy kraju. Tu opracowywano plany działań wojskowych oraz akcje dyplomatyczne. Jednak wszystkie te poczynały w małym stopniu przyczyniały się do podwignięcia miasta, mimo swego znaczenia w skali ogólnopolskiej.

Niewiele pomogły też inne próby o charakterze organizacyjno-ustrojowym, zmierzające do tego celu. Założona za czasów króla Jana III konfraternia kupiecka (rodzaj cechu kupieckiego) mało przyczyniała się do ożywienia podupadłego handlu, kierując swe wysiłki głównie przeciwko kupcom żydowskim. Tak samo formalnie o dużym znaczeniu wrównanie Lublina z Krakowem z 1703 r. w usunięciu ingerencji wojewody i starosty przy powołowaniu burmistrzów oraz rodzaju nobilitacji magistratu lubelskiego, w praktyce nie dala rezultatów. Wojewoda i starosta w dalszym ciągu miałowali w ciągu roku dwóch burmistrzów (w I i II kwartale), pozostawiając miastu wybór burmistrzów

na kwartał III i IV. Zmiany w powoływaniu władz miejskich przyjdą dopiero później. Czasowo mogły ożywić miasto odbywające się tu (1703 i 1710 r.) sejmy i zjazdy.

Nie zmieniły zastój w rozbudowie miasta nowe budowle sakralne (kościół i klasztor kapucynów, wizytok i in.), gdyż były fundowane przez mało związane z miastem rodziny magnatów. Jaśniejszym punktem na ówczesnym tle życia Lublina są niektóre wydawnictwa drukarni jezuitów oraz stosunkowo liczne księgozbiory zgromadzeń zakonnych, zawierające poważne pozycje książkowe. Nie jest jednak należycie wyjaśniona rola tych księgozbiórów jako warsztatów pracy naukowej.

Początki panowania Stanisława Augusta nie przyniosły Lublinowi zmian na lepsze. Hość ruin i zdemolowanych kamienie była duża. Bruki złe. Błoto na ulicach występowało bardzo często. Zmiany nastąpiły dopiero w latach osiemdziesiątych w związku z działalnością Komisji Dobrego Porządku i jej prezesa wojewody K. Hryniewieckiego. Komisja energicznie zajęła się poprawą wyglądu miasta, współdziałała przy restauracji zniszczonych kamienic, budynków publicznych, brukowaniu ulic itp. W 1787 r. mógł już napisać A. Naruszewicz, że dzięki Komisji „miasto starożytnie... dawną swoją ozdobę (t.j. ratusz i kamienice — J. M.) przyczynęć mać zaczyna”.

Komisja Dobrego Porządku zajęła się także przywróceniem Lublinowi władzy nad oderwanymi terenami miejskimi (jurydykami), uprządkowaniem finansów miejskich itp. Wydano też szereg przepisów o ulgach podatkowych dla odbudowujących zrujnowane domy oraz o porządkach sanitarnych i przeciwogniowych. Działalność Komisji dawała rezultaty. Zamożniejsi kupcy lubelscy — Heyzler, Korn, Okraczewski — przebudowywali okazywalnie kamienice i w tym celu niera-

Wojciech Siemion

PEWNEGO letniego popołudnia Aleksander Bardini i Wojciech Siemion stali sobie przed lokalem Związku Literatów przy Krakowskim Przedmieściu i gwarzyli o sprawach zawodowych. Siemion — Człowiek Kłóty Nie Potrafi Odmawiać — był zarasowany i radził się swego starszego kolegi, czy przyjąć proponowane mu dyrektorstwo jednego z warszawskich teatrów. Bardini odpowiadał. Naprzeciw dwóch robotników naprawiało nadwątlony chodnik. W pewnym momencie jeden z nich podniósł wzrok, trzącił swego towarzysza i zawołał:

— Patrz Edek, to Siemion...
Taki był ludowy komentarz do problemu: „czy lepiej być aktorem, czy też dyrektorem teatru”.

...Upalny dzień. Wojciech Siemion jechał w plener, by grać w jednym z filmów. W Tleniu wstąpił wraz z kierownicą do miejscowej gospody na małe piwko (piwko miał wypić, oczywiście, tylko Siemion. Sumienny kierowca chciał się orzeźwić oranżadą). Przed bufetem klebił się tłum spragnionych tubylców i również spragnionych turystów. Czas napili, więc Siemion zaczął się dość beceremonialnie przepychać do przodu. Jakiś barczysty tubylec, dotknięty do żywego tą beceremonialnością, odwrócił się i złość prawicę w celach wyraźnie agresywnych. Nagle wzrok mu złądniał.

— Patrzcie, patrzcie — rzekł do bródzianina. — To Siemion tak się tutaj wtrąca.

Woryginalnie ostatnie słowo wypadło nieco soczyskiej.

Oto ludowy komentarz numer dwa. Do problemu popularności. Tego typu przygody liczy sobie zresztą Wojciech na kopy. W tym miejscu trzeba z surowym obiektywizmem dodać, iż Siemion, mimo tytułu elementu ludowości w swojej artystycznej twórczości, nie wyciąga praktycznych wniosków z ludowych komentarzy. Zgodził się, na przykład, na dyrektowanie. Od stycznia roku bieżącego jest bowiem dyrektorem żoliborskiego teatru Komedii. A skutki tego są czasami nieoczekiwane.

...Siedzę oto w fotelu w stylu Dyrektoriatu (pewnie dekoracja). Po swoim dyrektorskim gabinecie krąży Wojciech Siemion (w tym wypadku dyrektor Siemion) i wyjaśnia mi genozę teatru jednego akto-

ra. Mówi przystępnie i ciekawie, niemniej jednak rozmowa przebiega w tak zwanych górnych rejach. Krąży po tej teatralnej hemisferze, a ja już jestem prawie przekonany. Jeszcze kilka słów, a stanę się fanatycznym zwolennikiem teatru jednego aktora. Nagle Siemion przerywa w pół słowa. Podchodzi do stołu, również w stylu Dyrektoriatu, chwytając jakąś teczkę, wypełnioną aktami. Wertuje ją gorączkowo, w tym samym, 1950 roku. Nie dane było jednak Wojciechowi Siemionowi stanąć na deskach szcześcińskiego teatru. Zaangażowano go do filmu „Zaloga” Fethkego, co zmusiło go do wyjazdu do Gdyni. Gwoli ścisłości trzeba przyznać, iż był już nawet obsadzony w „Rezerworze”. Nie zdążył jednak zagrać.

— Znów mi się stolarz upił! Chyba Jam mam wymówienie.
Czar przysł... Z niebiańskiej hemisfery spadliśmy prosto na administracyjny padół.

Urodził się Wojciech Siemion we wsi Krzczonów na południu od Lublina. Krzepki był ród Siemionów, jako że w domu ojczystym rości siedmiu braci. W czasie okupacji szli kolejno, począwszy od najstarszego, do partyzanckich oddziałów. Wojciech chociaż szczeniak nieletni, też uczestniczył w partyzanckiej bitwie. Po raz pierwszy musnęła go Melpomena w tych szczeniowych latach. Praktykował u kamaznika i do jego obowiązków należało głośne czytanie książek podczas długich, jesiennych i zimowych wieczorów. Słabo to było jednak musnięcie, skoro Wojciech postanowił studiować astronomię. Na szczęście dla sceny polskiej (a może i dla astronomii?) do tego nie doszło. Po wojnie przeniósł się do Kalisza, gdzie jeden z jego braci — partyzantów, Leszek był komendantem powiatowym MO. Tam skończył szkołę średnią i powrócił do Lublina. O astronomii nie było już mowy. Wojciech zaczął studiować prawo i skończył nawet trzy lata. Jednocześnie poznawał pierwsze tajniki aktorskiego rzemiosła w Studium Dramatycznym przy lubelskim Teatrze im. Osterwy. Ponieważ trzeba było przy okazji z czegoś żyć, pracował w Izbie Skarbowej.

Na pytanie (którego stereotypowość wola o pomstę do nieba): „dlaczego postanowił zostać aktorem?” Wojciech Siemion odpowiada z rozbrajającą szczerością: „nie wiem”. Na pytanie: „jaka była pierwsza rola?” odpowiada: „nie pamiętam” — Oto rozsądne odpowiedzi na tego typu pytania.

Z Lublina przenosi się do War-

szawy, gdzie kończy PWST u Zelwera. Pracą dyplomową była rola starszego profesora w „Worobio-wych górach”. Następnie wyjeżdża do Szczecina (coś tych lubliniaków ciągnęło do Szczecina. Czechowicz też tam zawędrował i, co dziwniejsze, w tym samym, 1950 roku). Nie dane było jednak Wojciechowi Siemionowi stanąć na deskach szcześcińskiego teatru. Zaangażowano go do filmu „Zaloga” Fethkego, co zmusiło go do wyjazdu do Gdyni. Gwoli ścisłości trzeba przyznać, iż był już nawet obsadzony w „Rezerworze”. Nie zdążył jednak zagrać.

Po Szczecinie — Warszawa, teatr Ateneum. Po Ateneum — Rozmaitości, po nich — Klasyczny, po nim — Komedii, po niej — Narodowy, po nim — Powszechny, po nim znów Narodowy. Stałością (oczywiście w sensie przywiązania do miejsca pracy) Siemion się nie odznaczał. Nie jest jednak w tym wśród aktorów warszawskich (i nie tylko warszawskich) osamotniony... Aktualnie jest Siemion dyrektorem Komedii, ale gra w Narodowym w Dejmka (któremu w ostatecznym rozrachunku pozostał najwierniejszy).

Z Siemionem spotkałem się w kilkudniowych odstępach trzy razy. Po raz pierwszy — w jego dyrektorskim gabinecie w Komedii. Po raz drugi — podczas jego prelekcji w Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej. Po raz trzeci — w kawiarni Związku Literatów. Za każdym razem poznawałem innego Siemiona, przy czym najbliższy i najbardziej bezpośredni wydał mi się w kawiarni literatów.

Namiętnością jego jest teatr jednego aktora. Z tej namiętności powstał pierwszy program „Malowana wieża”. Miejscem urodzenia był Studencki Teatr Satyryków, znany pod skrótem STS. A pobudki? Postaram się streścić wywoody Siemiona, zdając sobie sprawę z nieudolności tego streszczenia.

Co nas urzeka w pieśni ludowej, w wykonaniu, powiedzmy: „Mazowsza” lub „Śląska”? Barwność zespołu i te melodie, melodie rozkołysane, chwytające za serce, wyciskające czasami łzy z oczu. A z czego składa się pieśń ludowa? Z melodii, rzecz prosta, lecz również z rytmu i tekstu. Co by się stało, gdyby tak zachować tekst i rytm, a odrzucić

(Dokończenie na str. 11)

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZMW w Białymstoku

ALEKSANDER BARSZCZEWSKI

poezja

Ja w ciebie wchodzę jak do cerkwi
w której wszystko jest złuda
i prawdą zarazem
w obliczu świętości
zakutych w kanonach
bliźnię swobodą formy
i obok biblii siwej
składam tomik zielonych zwierzeń
bo jedna księga nie zaspokaja
gustów tysiąca pokoleń

ADAM MUSZYŃSKI

d z w o n

w roztopionej ciszy
ktoś zatargał jego głosem
napenił przestrzeń
pożegnaniem gasnącego dnia
w ciemniejącej lunie tonącego słońca
ginie milczenie odchodzących w przeszłość
komu on bije w rozkopanym dniu

WIKTOR SZWED

Zakłęty w kamieniu

Na schodach banku Sumitoma
Kształty człowieka są odbite.
Tu przysiadł ktoś po wyjściu z domu
I już nie podniósł się z granitu.

Gorącym stopił go olbrzymim
Atom i w twardej gładz zamienił
Jak pomnik — symbol Hiroszimy
Zakłęty drzemie on w kamieniu.

Grozą przemawia do przechodnia:
Patrz i na zawsze zapamiętaj
Poprzez podobną nową zbrodnię
W kamieniu możesz być zakłęty.

JAN CZYKWIN

j a r m a r k

to ogrody zeszyły do rąk przy straganach
końskie mordy pachną przepoczoną konieczyną
tu wjeżdżają jak do historii chłopci brodac
z przyrośniętym na zawsze wio ty szkapo

brody nie znają gillette
oczy lasków bulońskich strzyżonych ogrodów
zastygłe na pory roku
nie widzą żon piękniejszych od mon liz

po ogrodach panie maki w siatkach
dzieci leżą, biegniemy w repete
smutek wałęsa się na psim ogonie
gdy konie odjadą wraz z nimi ruchome ogrody

KRYSTYNA SOŁONOWICZ

* * *

nie kwitnij okna nie zaslaniaj różo
drogi się płaczą i dłużą
chaty
wstąpiły na wzgórze
spłęzły się brzegi rozparła — jodła
żebym go zobaczyć nie mogła
żebym go nie mogła zobaczyć

EUGENIUSZ
SZULBORSKI

TADEUSZ
KWIATKOWSKI

starzec

Credo

skończony
jak olówek w dłoni
jeszcze tylko kilka liter
i minie
aż do doliny
Józefata

Ja nie ważę światła na atomy
Ja ważę świat na
zakoehania
Ze słów wychodzę
przyzwolonych
Wracam
w zdaniach

nabywali zniszczone pałace magnackie. Poczynania Komisji Dobrego Porządku kontynuowała powołana później wojewódzka Komisja Cywilno-Wojkowa (przeniesienie cmentarzy za miasto, weryfikacja lekarzy). Ogólne ożywienie gospodarczo-społeczne kraju widać było w Lublinie tak w handlu jak i rzemiośle.

Liczba ludności powoli zaczęła wzrastać. W 1787 r. przekroczyła 8500 mieszkańców, w tym czterdziestu kilku większych kupców, około trzystu mistrzów rzemieślniczych. Zróznicowanie majątkowe wśród ludności Lublina było duże. Bogaci kupcy, aptekarze, lekarze itd. stanowili elitę. Oni wchodziłi zazwyczaj w skład Rady Miejskiej. Wciąż istniały duże konflikty między ludnością chrześcijańską a Żydami, którzy powinni byli mieszkać w dzielniczy żydowskiej między miastem a jurydykami, oraz między cechami a partaczami.

Jak już wspomnieliśmy, Lublin uzyskał w 1783 r. prawo wyboru prezydentów i rajców. Miarą upadku znaczenia miasta było, że jednak to prawo nie zostało zrealizowane. Dopiero po kilkudziesięciu latach Komisja Dobrego Porządku ustaliła wybór prezydenta, wiceprezydenta i rajców przez miasto, ostatecznie przekształcając uprawienia wojewody i starosty w tej kwestii. Pierwszym prezydentem wybranym według prawa został Jan Kanty Makarowicz.

Lublin wziął bardzo czynny udział w walce miast królewskich o swoje prawa, zainicjowanej przez magistrat Warszawy i jej prezydenta Jana Dekerta. Miasto reprezentowali: Michał Lamprecht i Stanisław Trojański, a potem Jakób Lewandowski i Maciej Greber. Delegat lubelscy wzięli udział w słynnej („czarnej”) procesji przedstawicieli miast, która, jak wiadomo, przedstawiała postulaty miast królowi i dygnitarzom państwowym.

Zywo zareagował Lublin na uchwalenie znanego prawa o miastach z 1791 r., przyznającego miastom szereg uprawnień, a następnie włączonego do Konstytucji 3 Maja. Urządzano nabożeństwa i obchody. Uroczystości te uzupełniono w dniu

8 maja tj. w dniu imienin króla Stanisława Augusta. M in. fasada ratusza była ozdobiona cyfrą królewską i napisami. Wśród nich widniał wiersz:

Nasz sercami król włada wolnego
narodu.
Czego jest oczywistym w Europie
narodem,
Ze naród trzyma z królem a król
z narodem
Vivat król! Prawodawcze vivat z nim!
Za prawo i przywilej od nich miastem
dany.

Obywatele iluminowali domy. Cieszone się i wiwatowano.

Zgodnie z zawartym w Konstytucji 3 Maja prawem o miastach królewskich Lublin stał się miastem wydziałowym i apelacyjnym. Tu miały odbywać się zebrania miast wydziału lubelskiego (województwo lubelskie i niektóre miasta sąsiednie), wybierające plenipotentów miejskich na sejmy, tu miał funkcjonować sąd apelacyjny dla miast. 10 sierpnia 1791 r. wybrano plenipotentem miast, kupca z Lublina, Michała Gautier, zaś prezesem sądu apelacyjnego, Piotra Czernskiego.

Zgodnie z nowo uchwaloną konstytucją włączony zostały do miasta liczne jurydyki. Nowy magistrat lubelski został wybrany dopiero 14 kwietnia 1792 r. Prezydentem został aptekarz Teodor Gretz-Gruell, z pochodzenia spolonizowany Niemiec, entuzjasta Konstytucji. Jedną z pierwszych czynności nowego magistratu był obchód rocznicy Konstytucji 3 Maja. Znów specjalnie dekorowano rynek i ratusz. Wśród licznych emblematów i napisów można było czytać:

Gdy berło, toga, pancerz w jednej
z sobą sferze,
Gdy kraj wspólnie ratują król, senat,
rycerze,
A ten węzeł jedności wzmoconiony przez
miasta
Zadna przemoc nie zdota zachwiać
tronu Piasta.

Następnie przystąpiono energicznie do pracy nad podnoszeniem sta-

nu finansowego miasta oraz bezpieczeństwa, czystości i higieny. Zwrócono też uwagę na opiekę nad sierotami, uniezależnienie miasta od sądów szlacheckich, podniesienie rzemiosła oraz ścisłe przestrzeganie nowych praw przyznanych miastu.

Ożywienie życia publicznego wpłynęło także na poziom oświaty i kultury. Po kasacie zakonu jezuitów przyszły szkoły narodowe Komisji Edukacyjnej z językiem wykładowym polskim i nowoczesnymi metodami. Wśród nauczycieli świeckiej Szkoły Wojewódzkiej znajdowali się późniejsi profesorowie akademii krakowskiej, uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego. Jan Makarowicz pisywał do czasopism stołecznych. Prezydent T. Gruell słynął z pięknej wymowy, lekarz M. Bergonzoni napisał pracę: „Lublin według ustaw medyki uważany”. Tworzono stypendia dla kształcącej się młodzieży (A. Gompertz, T. Gruell).

Niedługo cieszył się Lublin reformami 3 Maja. Jak wiadomo wystąpiła Konfederacja Targowicka i popierająca ją Katarzyna II. Lublin wykazywał dużą ofiarność dla obrony kraju. Obrona jednak była trudna. Po bitwie Kościuski pod Dubienką wojsko polskie cofało się, król przystąpił do Targowicy. 25 lipca 1792 r. wojska rosyjskie zajęły Lublin. Konstytucyjny magistrat z T. Gruellem ustąpił. Wybrano nowy według wzorów z przed 3 maja. Sejm grodzieński ustalił nowe, gorsze prawa dla miasta.

W czasie insurekcji kościuszkowskiej znów zbierano w Lublinie składki na potrzeby wojska i tworzono oddziały kosynierów. Gdy jednak po bitwie pod Chelmem generał Zajacek wycofał się ku Lublinowi, a następnie zdecydował się na dalsze cofanie w stronę Kurowa — mimo „gotowości obrony mieszkańców Lublina”, ogłoszonej przez prezydenta miasta, Rosjanie zajęli Lublin. Po przejściu Rosjan zjawili się Austriacy. Były to ostatnie dni dawnej niepodległej Polski w Lublinie (13 czerwca 1794 r.).

FARAON rzecz wielka

MARIA BEHCZYC-RUBNICKA

ZAPRAWDĘ bardzo to miłe, że znalazł się wreszcie taki monumentalny film polski, któremu nasza opinia publiczna udzieliła aprobaty, zanim jeszcze zdobył sukces za granicą. Przymiotniki: szlachetny, czysty, niebanalny, refleksyjny — stały się niemal obowiązującą w stosunku do „Faraona” Jerzego Kawalerowicza. Magistrała oceny prasowej wydaje się zdecydowanie wytyczona w kierunku pozytywnym. Nikt się nie kłóci, jak przy „Popiołach” Wajdy.

Mimo woli nasuwa się pytanie — skąd taki umiar i pogoda? Przecież nie o absolutnej doskonałości filmu, bo coś nieoświecony krytycznie przebąka, choć z wielką dyskrecją i rewerencją. A więc potwierdza się znów fakt, że o tonacji i temperaturze odbioru naszych reprezentacyjnych dzieł sztuki filmowej decydują u nas postawy historyzoficzne autora i konsumenta. Ryzykowna „historiozofia” „Popiołach” Żeromskiego odżyła na ekranie najwidoczniej w nieodpowiednim momencie, zaś polityczno-socjologiczne poglądy Prusa jakoś nikogo nie podrażniły. No i mamy werdykt: Wajda „zdradził”, Kawalerowicz — „wierny”.

Czyżby jednak wierność głównego nurtu „Faraona” filmowego — naczelną ideę powieści Bolesława Prusa była w istocie całkiem bezsporna?

Nie ulega wątpliwości, że Konwicki i Kawalerowicz wręcz urzekająco klarownie zaprezentowali konflikt dwóch czynników rządowych, które dążyły, według powieści, do zmonopolizowania władzy w swoich rękach. Celnie wyeksponowały zasadniczy wątek, dynamizując dzieło Prusa, jest niemalą zaśluga scenarzysty i reżysera filmu. Ale... ale wizualna realizacja owego tak umiejętnie i czysto wysublimo-

wanego wątku nie tylko „zubożyła” pierwowzór (byłoby w tym pół biedy — jakąż adaptacją filmową tej czy innej znakomitej powieści uniknęła jej „zubożenia”), lecz i przelała przez pryzmat filozoficzne wyrażone przez pisarza w jego „Faraonie”.

Albowiem chcąc być „wiernym” Prusowi nie wystarczy przeciwstawić makławelizmowi kapłanów dobrym chęciom, popędliwości i nieodwiedzialności Ramzesa XIII — zresztą również poczynającego sobie niekiedy makławelizm (organizowanie rozruchów). Postawa socjologiczna Prusa jest mniej jednoznaczna niż zaangażowanie Żeromskiego w „Popiołach”: Prus spogląda na sprzeczności swego „Egiptu” niejako sub specie aeternitatis, dostrzega on z epickim obiektywizmem błędy i subiektywne racje przeciwstawionych postaci. Ucinając ostatni rozdział powieści i epilog reżyser wykreślił się tym samym wszechstronnie prezentacji humanistycznej filozofii dzieła.

Oto najjaskrawszy przykład. Kawalerowicz kończy film efektywnie: widokiem czarnych czeluści bramy, przemieniających się stopniowo w mrok szerokoekranowy. W wylocie tej bramy miał się ukazać ludziom dobrej woli — Ramzes, mąż opatrności, władca sprawiedliwy. Nie ukazuje się. A więc co? Czekanie na Godota? Mrok immanentnego zła władzy? Przeproszam za dowolną interpretację metafory, w swoim czasie interpretowano również dowolnie słomę w odwrocie Napoleona...

Mrok jest tedy finalnym akcentem filmu. U Prusa tymczasem, jak wiadomo, intrzygant arcykapłan Herhor, dochrapawszy się, że tak powiem, namiestnictwa, w przedniu usadowienia się na stolec faraonowym realizuje projektowane przez Ramzesa reformy. Widzimy zatem pośmiertne zwycięstwo młodego zapaleńca. Przypominam ten *passus*, cytowany tu i ówdzie w innym celu:

„Kilkumiesięczna władza namiestnika była wiele pomyślna dla Egiptu. Herhor uspokoił buntę pospółstwa i jak było dawnymi czasy, porwolił co siódmy dzień wypoczywać ludziom pracującym. Zaprowadził surową karność między kapłanami, otoczył opieką cudzoziemców, a szczególnie Fenicjan, i zawarł traktat z Asyrią nie odstępując jednak Fenicji, która pozostała hołdowniczką Egiptu.”

W ciągu tych krótkich rządów sprawiedliwość wypełniała się szybko, ale bez okrucieństwa, i lada kto nie śmiał bić egipskiego chłopca, który mógł odwoływać się do sądu, jeżeli miał dosyć czasu i świadków”.

Na różne już sposoby komentowano powieść Prusa. Współcześni szukali w niej aluzji do stosunków carskiej Rosji, dopatrywali się antyklerykalizmu. Dziś dla wszystkich badaczy jest jasne, że Prusowi chodziło o państwo w ogóle, choć oczywiście konkretna sytuacja ówczesnej Polski określała jego stanowisko historyzoficzne. Najbliższym prawdy wydaje się komentarz, który widzi w „Faraonie” pokaz chorośliwego układu sił w państwie ja-

ko takim, zachwiania ich racjonalnej równowagi, egzemplifikowanego upadkiem starożytnego Egiptu przy XX dynastii.

Właśnie w epilogu wypowiada Prus najgłębsze i chyba najbliższe jego sercu myśli. Sugeruje on m. in. porównanie historii ludów ziemi do wzburzonego morza, gdzie jedna fala spada w otchłań, a druga się podnosi. Z upadków i cierpień jednostek powstają nowe formy zbiorowości. Ważna jest ciągłość cywilizacji kształtowanej wielkim nakładem pracy...

Nie wiem, czy miał słuszną Kawalerowicz utrzymując czystość swej koncepcji kosztem eliminacji epilogu powieści, z jego szerokim spojrzeniem na rzecz świata. W każdym razie przy tym posunięciu trudno mówić o podstawowej wierności ideom pierwowzoru.

Tragedią naszych gigantów jest to, że opracowywane parę lat nie odpowiadają najpilniejszym potrzebom chwili swego ukazania się na ekranie. Tak było z „Popiołami”, tak jest z „Faraonem”. Prawdę mówiąc, problem władzy został już ostatnio mocno wyeksplloatowany w różnych metaforach scenicznych i filmowych. Toteż ogląda się film Kawalerowicza z mniejszą pasją, niż należałoby oczekiwać — choć, rzecz prosta, nie przestaje on być na ogół aktualny.

Ekranizacja „Faraona” ma z pewnością wielką wagę. Przede wszystkim ze względu na wzmożenie popularyzacji dzieła Prusa w kraju i za granicą. Można się spodziewać pokaźnego wzrostu przekładów powieści na przeróżne języki.

Faktura filmu jest nobliwa, nacechowana znawstwem, docieklivością

w realiach (niemal a la Stanisławski), dobrym smakiem, słowem prawdziwą kulturą. Potężnym sojusznikiem scenografa (Jerzy Skrzepiński) i reżysera był sam Prus, który nie skąpił czytelnikowi drobiazgowych opisów swego „Egiptu”, w wizji wysnutej z sumiennych studiów archeologicznych.

Mimo to mam wrażenie, że twórca filmu posunął zbyt daleko ascezyzm kolorystyczny rezygnując prawie całkowicie z barwy zielonej, co sprawiło, iż obraz Nilu ze swą jasną zielenią wypadł z ogólnego stylu scenograficznego. Efektowna, ale bardzo sztuczna stylizacja jest totalne przeładowanie plenerów piaskiem pustyni, rzuca się ta sztuczność w oczy już na początku przy spotkaniu Tutmozisa i Ramzesa z Sarą, która niby to brnęła przez płachy, aby „popatrzeć na manewry wojska”.

Każdy rozumie, że chodzi tu o metafory (trudu, znoju, jalości etc.), niemniej mamy w rezultacie nieco ułatwione utrzymanie jednolitego stylu (trudnie) byłoby tego dokonać przy retrospekcjach — ale idąc za Prusem Kawalerowicz stosować ich nie potrafił.

A przecież i tak nie udało się uniknąć pewnej rozbieżności stylowej pomiędzy scenami plenerowymi a obrazami wnętrza. Pierwsze są jakby raczej graficzne, drugie — malarskie, już nie stylizowane, lecz rdem z realizmu XIX-wiecznego. Bo przewijająca się tu masywna hieratyczna nie jest „stylizacją”, tylko prawdą obowiązującego ceremoniału.

Ale wszelkie zastrzeżenia błędna wobec wspaniałych scen rytualnych, a szczególnie wobec niesamowicie pięknego momentu zażeniacia (scen-

ny wymowniejszej wizualnie niż u Prusa, który ukazuje Herhora na tarasie świątyni — w asyście innych kapłanów).

Nawiąsem mówiąc, nie przeszedł mi i wesela scena przetargów Hiram, Dagona i Rabsuna, skutecznie odprężająca widzów we wcześniejszej części filmu. Świetni są: Alfred Łodziński i Edward Rączkowski.

W ogóle trzeba powiedzieć, że mimo ogromu przedsięwzięcia Jerzy Kawalerowicz nie zaniedbał aktora ani statysty. To tylko dzięki pracy z takim reżyserem Jerzy Żelnik, dwudziestoletni student i roku warszawski PWST, udźwignął rolę Ramzesa i na dodatek jego sobowtóra Lykona, mając na starcie wprawdzie urodę, talent, ale bardzo skromną wiedzę aktorską. W niewiele łatwiejszej sytuacji znalazła się Krystyna Miłkowska, która wyjechała na zdjęcia w Azji Środkowej natychmiast po ukończeniu krakowskiego PWST. A wszakże sceny z jej Sarą są właściwie jedynymi momentami wzruszającymi w filmie.

Na czło zespołu wysunęli się: Piotr Pawłowski (ziębły, zrównoważony Herhor), Leszek Herdegen (mądry, rzetelny Pentuer), Stanisław Miłski (zawzięty Mefres), Wiesława Mazurkiewicz (reprezentacyjna królowa Nikotris — odnotować tylko wypadła w ustawieniu tej roli większe odstępstwo od tekstu pierwowzoru w scenie zażeniacia, gdzie historia matki Ramzesa jest jak gdyby reminiscencją z „Matki Joanny od Aniołów”). Również świetnie prezentuje się hieratyczny z musu, dobroliwy Ramzes-ojciec (Andrzej Girtler) i ulubieniec Ramzesa-syna Tutmozis (Jerzy Buczański), choć mu nie przydano zgodnie z tekstem ekskluzywnej elegancji, bo i jak w tej splekocie? Zostaje także w pamięci kapłan Samentu, Mieczysław Voit (scena Labiryntu), i okrutna kapłanka Kama (Barbara Brylska)...

W sumie film nie porusza emocjonalnie, lecz angażuje umysł widza, budząc podziw dla monumentalności wysiłku i osiągnięcia artystycznego.

Na końcu dorzucam słówko *pro domo* sua czyli na cześć Lublina, skąd wyszedł jeszcze w r. 1926 pierwszy apel o ekranizację „Faraona”. Opublikował ten apel wybitny prasolog prof. dr Feliks Araszkiewicz, z początku w „Ziemi Lubelskiej”, a po 8 latach, więc jeszcze przed wojną, w dodatku literackim warszawskiego „Głosu prawdy”. Ta rozprawa o kinetycznej wyobraźni Prusa w „Faraonie”, pt. „Faraon to świetle jupiterów”, weszła w skład wydanej przez Pax w r. 1957 pracy F. Araszkiewicza „Dzieła i Twórcy”.

Alarmu ciąg dalszy

(Dokończenie ze str. 1)

blemy naszego bibliotekarstwa i wskazuje obszar, na którym wszelkie trudności występują w ostrej, niemal klinicznej postaci. Jeżeli jednak decydujemy się na „ciąg dalszy”, to tylko w celu wydobycia zasadniczych przyczyn prymitywnego stanu tej formy upowszechniania kultury. Proponuję więc blyskawiczny rajd po województwie, który da nam dodatkowe przesłanki do końcowych wniosków. Zaczniemy od wsi.

Okazuje się, że ok. 84 proc. placówek gromadzkich i ich filii zajmuje pomieszczenia zbyt szczerpe (znaczenie pojęcie tzw. normy, wynoszącej 30 m kw.), aby mogły rozwinąć działalność zgodną z faktycznymi potrzebami środowiska. Spotkać jeszcze można biblioteki, które ze względu na użytkowaną powierzchnię powinny nosić nazwę „wypożyczalni z ograniczoną inicjatywą” w Zagłobie 7 m kwadr., w Kowalach i Skokowie po 3 m kwadr.

Dodałmy do tego 23 biblioteki i filie korzystające z klas szkolnych, bluz GRN i klubów „Ruch”, a obraz sytuacji lokalowej placówek wiejskich ujrzymy w jeszcze ciemniejszych barwach.

Kilka konkretnych przykładów swobodnie „troski” o biblioteki pozwoli przy okazji zrozumieć przyczyny takiego stanu.

W powiecie opolskim w miejscowości Kowala odebrano bibliotecze czynnie i przydzielono ją klubowi „Różnka”. W nadbużańskim Zabłociu wykwaterowano bibliotecze na rzecz urzędu stanu cywilnego. Fakt, że w tej wsi w r. 1911 urodził się Aleksander Gawryluk, znany poeta piszący w języku ukraińskim, kolega Putramenta, Wasiliewskij, Hoya-Zeleńskiego i Wajdy, nie oowocuje, jak widać, świątyni o kulturze.

Nie znaczy to przecież, że nie się nie robi w celu poprawienia warunków pracy bibliotek wiejskich. Dzięki staraniom powiatowych i miejskich bibliotek aż 40 placówek gromadzkich przeniosło się w roku ubiegłym do nowych pomieszczeń.

Pewne refleksje wzbudza jednak fakt, że inicjatywa wyszła w tym wypadku głównie z „powiatu”.

Natomiast biblioteki miejskie są w lepszej sytuacji, ponieważ dysponują na ogół lokalami własnymi, choć żadna z nich, łącznie z wojewódzką, nie posiada samodzielnego budynku. W tym roku tylko Puławy otrzymały nowy gmach. W wyjątkowo złych warunkach pracują filie bibliotecze w Hrubieszowie: jedną z nich odnaleźć można w kuchni bibliotekarki, a druga w pokoju — także prywatnym.

Ogólnie biorąc sytuacja lokalowa bibliotek i ich filii jest jednak na Lubelszczyźnie w dalszym ciągu niezadowalająca, a wszelkie zmiany na lepsze postępują w ślimaczym tempie. Nie usprawiedliwiają tego możliwości materialne poszczególnych powiatów, często wystarczające na pokrycie rosnących potrzeb. Jak się zresztą okazało, problem nie sprowadza się wyłącznie do sfery materialnej...

Wyposażenie bibliotek w sprzęt techniczny także nie napawa optymizmem, choć podobno żyjemy w wieku szalonego postępu technicznego. U nas jednak króluje tradycja i rekordzie. Oto bowiem wszystkie biblioteki województwa dysponują 435 tzw. pomocami audiowizualnymi, w tym 15 telewizorami, 4 projektorami na taśmie 16 mm i 23 projektorami typu „Anator”, które są „szczytem” techniki współczesnej, a jednocześnie symbolem perspektywy otwartej (zamiętej?) w kierunku u-nowocześnieńcia i uatrakcyjnienia pracy bibliotek.

Drugą sprawę zaczęło od truzmu: efektywną pracę biblioteki warunkuje zasobny księgozbiór o odpowiedniej strukturze, uzależnionej od ogólnej polityki kulturalnej i bardziej konkretnych potrzeb lokalnych.

Ogółem w zbiorach bibliotek województwa znajduje się 2 376 053 woluminów. W r. 1965 przybyło

179 137 książek, w tym z zakupów 155 162. Kredyty przyznawane przez poszczególne rady narodowe są bardzo zróżnicowane i zazwyczaj niewystarczające. Np. w minionym roku w Białej Podlaskiej przeznaczono na zakup książek 41 tys. zł., w Hrubieszowie 50 tys. zł., a w Lubartowie 90 tys. zł. Faktyczne wydatki były jednak znacznie wyższe dzięki innym źródłom i wynosiły kolejno 90 tys. zł., ponad 107 i 144 tys. zł. Ogółem 11 powiatów uzyskało z różnych źródeł ponad 359 tys. zł., na co złożyły się dodatkowe subwencje przydzielone rad narodowych i pomoc ze strony kół przyjaciół bibliotek.

Liczybę te ilustrują dwa znamienne fakty: potrzeby finansowe bibliotek na zakup książek są nadal wysokie a kredyty nieproporcjonalnie mniejsze, oraz — dodatkowe fundusze są możliwe do uzyskania dzięki, co wykazuje praktyka, dobrej woli i zrozumieniu ze strony powiatowych rad narodowych.

Na przykład jednak takim czy innym rozwiązaniem, preliminowane i realizowane u nas sumy należą w dalszym ciągu do najniższych w kraju. Ponieważ średnie krajowe jesteśmy pod względem wysokości wydatków na zakup książek: 13,6 zł na 100 mieszkańców Lubelszczyzny, wobec przeciętnie 23,3 zł w kraju. W r. 1965 na 100 mieszkańców zakupiono u nas 2,27 książki, a średnia ogólnopolska wyniosła 9,92. W konsekwencji na 100 mieszkańców województwa przypadła 125,7 książek, podczas gdy średnia krajowa wynosi 133,4.

Jedynie pod względem czynności utrzymujemy się na poziomie średniej krajowej, co jest całkowicie zrozumiałe w kontekście podanych liczb: dużo chętnych — mało książek.

W niewatpliwych trudnych warunkach lokalowo-finansowych bibliotekarze mogą jednak odnotować na koniec sukcesów niejedną pozycję. Zwiększyła się

liczba powiatów, w których biblioteki prowadzą szeroką i ożywioną działalność oświatową. Warto tu wymienić biblioteki powiatowe w Białej Podlaskiej, Lubartowie, Lublinie i Puławach, które pełniły rolę inicjatorów i często bezpośrednich realizatorów pracy oświatowej w terenie.

• • •

Przytoczone poprzednio fakty i liczby nie mówią jeszcze całej prawdy, pokazują właściwie skutki, a nie przyczyny. Czego? Stosunku do bibliotek, niedostatecznej ich ogromnej funkcji społecznej i politycznej, często lekceważenia pracy bibliotekarzy, którą kwituje się wzruszeniem ramion. W świadomości wielu urzędników administracji terenowej biblioteka kojarzy się ze skromną wypożyczalnią, a próby urządzenia czytelnicy, budzą obawy o celowość i sens nowej „inwestycji”. W rezultacie większość bibliotek zajmuje pomieszczenia urągające nie tylko przepisom, ale i potocznym normom, które przykładamy do miejsca pracy.

Wyraźne zalecenie, aby zatrudniać w bibliotekach ludzi z wykształceniem co najmniej średnim, jest tylko pobożnym życzeniem, ponieważ albo nie ma chętnych, albo kieruje się tam osoby, dla których zabrakło pracy gdzie indziej. Natomiast brak etatów zmusza do angażowania pracowników rzeczywistych (wykonujących obowiązki bibliotekarzy jako dodatkowych), którzy stanowią dziś niemal 70 proc. ogółu bibliotekarzy wiejskich. Takie we wsiach zdarzają się wypadki utrudnienia pracy nowym bibliotekarzem — z tej prostej przyczyny, że nie pochodzą oni z danej miejscowości. Taki stosunek wpływa m.in. na wzrostalną płynność kadr w bibliotekarstwie, która przybrała niepokojące rozmiary: 54 zmian personalnych w ubiegłym roku.

Trudno oczekiwać od rad narodowych, aby nagle zapalały wielką sympatią do bibliotek i szczerze obdarowały je etatami i nowymi lokalami, tym bardziej, że często nimi nie dysponują. Chodzi o to, aby w granicach możliwości pomagać bibliotekom w ich ciężkiej, złożonej z nowych celów i obowiązków pracy. Jest to chyba osiągalne, jeżeli np. GRN w Werbkowicach

przyznaje corocznie odpowiednie sumy na działalność biblioteki i bezpośrednio pomaga zorganizować spotkanie z pisarzem, jeżeli 12 grudnia rad powiatu bełżyckiego dało po 1965 zł na zakup nowych książek, a lokal bibliotecznych w powiecie bychawskim nie trzeba się wstydzić.

Za realnością zwiększenia pomocy przemawiają także wyniki akcji „1000 książek na Tysiąclecie”. Przejrzyj PRN i MRN w Opolu wyasygnowały na ten cel po 10 tys. zł., a Prez. MRN w Poniatowej — 15 tys. Podobny, pełen zrozumienia i życzliwości stosunek do inicjatywy, wykazały również gromadzkie rady narodowe w powiatach lubelskim i opolskim.

Bibliotekarze twierdzą, że ewentualne powodzenie ich wysiłków zależy często od osobistych kontaktów z przedstawicielami administracji. Wydaje mi się jednak, że byłoby bardziej słuszne i jakoś na miejscu w naszym systemie społecznym, gdyby w udzielaniu pomocy placówkom o tak poważnym znaczeniu kierowano się zasadą oczywistej potrzeby, gdyby rozumiano, że pomaga się nie panu X, czy pani Z, ale społeczeństwu.

I w tym właśnie, w zmianie stosunku do bibliotek, widzę pierwszy krok na drodze poprawy warunków, w jakich one pracują, co zdyskontować się może w sposób nieoczekiwany poważny, choć niewymierny.

Nie jestem przecież na tyle naiwny, aby przypuszczać, że stosunek ten ulegnie modyfikacji bez pomocy odpowiednich i wiążących zarządzeń, za których realizację ludzie będą o d p o w i a d a ć. Liczenie wyłącznie na dobrą wolę i nadrabianie zaległości zrywem jednej czy nawet kilku akcji nie rozwiąże nigdy trudnych problemów bibliotekarstwa.

Ireneusz J. Kamiński

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

W Białymstoku odbyła się narada poświęcona omówieniu programów obchodów Tysiąclecia na Białostocznynie...

KIELCE

Do 11 muzeów w województwie dojdzie wkrótce 15: muzeum telefonów. Organizuje je wytwórnia w Radomiu...

S. P. w Trawnikach. Bardzo słabe. Tak o Millennium mogliby tylko pisać... A. J. F. w Grodzisku Mazowieckim. Pięsto Pan, że „jak dotąd zamiast wysłać wiersze...”

BIAŁYSTOK

Za dwa miesiące odbędzie się w Białymstoku II festiwal harskerskich zespołów artystycznych. Do eliminacji środowiskowych i powiatowych przystąpi blisko 100 zespołów...

W końcu października ub. roku nadeszła do Lublina agencja wiadomości, że statek Towarowo-pasażerski, który ma być w najbliższych dniach wodowany...

KIELCE

W Busku-Zdroju plastyk Leszek Kurcja miał już trzecią wystawę. Na pierwszej pokazał rysunki, na drugiej grafiki, ostatnio zaś malarstwo...

W tym czasie oficjalna delegacja władz miejskich wywierała się na wodowanie „Lublina”. Wywierała się, książki zabrano, ale jednocześnie powiedziano redakcji...

Jerzy Dostatni

W dolach 25 i 26 marca odbyła się w Lublinie sesja oświatowa, zorganizowana przez Komisję koordynacyjną eksperymentu oświatowego...

Teatr im. Siemaszki wystawił reżyserii Elżbety Turskiej i scenografi Jerzego Szamańskiego. W wojewódzkim konkursie-plebiscytcie „Blizę książki współczesnej” zwyciężyli metalowcy przed hutnikami...

RZESZÓW

Wielu „Kurier” przerwał akcję, chociaż co kilka tygodni tu i ówdzie przypominał, że tygodnie mijają, a nie się w tej sprawie nie dzieje. W pierwszych dniach marca znów byłem w Szczecinie i dalekopisem nadsłałem najświeższe wiadomości o przebiegu budowy statku...

Wojciech Siemion jest jednak nie tylko aktorem teatru jednego aktora. Jest również aktorem Teatru Narodowego (gra w „Zwycięzcy” i w „Historii o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”)...

Prawdziwe kulisy „SOS dla „Lublina“

S PRAWA statku „Lublin”, który za dwa tygodnie ma wypłynąć w pierwszy rejs, nabiera coraz bardziej nierzeczywistego aspektu. W nr 70 „Standardu Ludu” z dnia 21 marca Wiesława Bandyrowa w artykule pod wymownym tytułem „SOS dla „Lublina”...

Wielu „Kurier” przerwał akcję, chociaż co kilka tygodni tu i ówdzie przypominał, że tygodnie mijają, a nie się w tej sprawie nie dzieje. W pierwszych dniach marca znów byłem w Szczecinie i dalekopisem nadsłałem najświeższe wiadomości o przebiegu budowy statku...

Wojciech Siemion

(Dokończenie ze str. 7) melodię i tę całą kolorystyczną oprawę? Odpowiedź na to pytanie dał właśnie Siemion w „Malowanej wieży”. W znanej „Balladzie o Il-worcerze”, pochodzącej z krasno-stawskiego, zniknęła melodia. Pozostał rytm i pozostał tekst...

S p r z e d a ż g

„Nie sądzimy, aby wszystkie polskie młode dziewczęta tak bardzo chciały być żonami szwajcarskich „gentlemenów”. Ale być może to barokowe głupstwo z żądaniem małżeństwa jest wyrazem temperamentu, a także zaprzęgnięcia sobie głowy przez część młodzieży polskiej, która — nie znając wojny — oczekuje najchętniej na pieczone gołąbki z nieba. Jest to więc dokument, którym proponujemy się delectować naszym czytelnikom i czytelnikom”.

Takim komentarzem — w skrócie — opatrzyłem niżej przytoczony list od studentki polskiej redakcji najpopularniejszego dziennika szwajcarskiego „JOURNAL DE GENÈVE” (nr 57, str. 16 z dnia 9.III.1966 r.). Redakcja dodaje jeszcze, że co pewien czas otrzymujemy z Polski listy z prośbą o wysłanie kart pocztowych, trudnych do zdobycia lekarstw, a nawet zamieszczenie reprodukcji rzeźb bądź wierszy 20-letniego poety. Ale oto ów list:

ten list do pana i posłał panu wiele serdecznych pozdrowień. Jaka jestem? Młoda, zdrowa, silna, piękna, zdalam maturę, jestem dobrą kucharką (gotuję lepiej niż moja mama). Szukam mężczyzny z charakterem, interesującego, inteligentnego, w wieku 25-35 lat i nie biednego. Proszę mi wybaczyć błędy i dziękuję bardzo za wszystko. Drogi panie redaktorze — żyjęc panu wielę szczęścia w życiu osobistym i w miłości. Jeszcze raz wiele serdecznych pozdrowień od Polki Joanny K., Kraków”.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielicki, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Rozumie współczesną poezję. Rozumie nawet jej niekomunikatywność. Gdy Słowacki pisał „Niechaj mnie Zosia o wiersze nie prosi” najbardziej brutalnym dźwiękiem ówczesnego świata był turkot karoty. Dziś otacza nas świat dźwięków, przy których brutalny podówczas turkot karoty uchodzić może za kojący szmer rucajza. Muszą się przede zmienić środki ekspresji.

